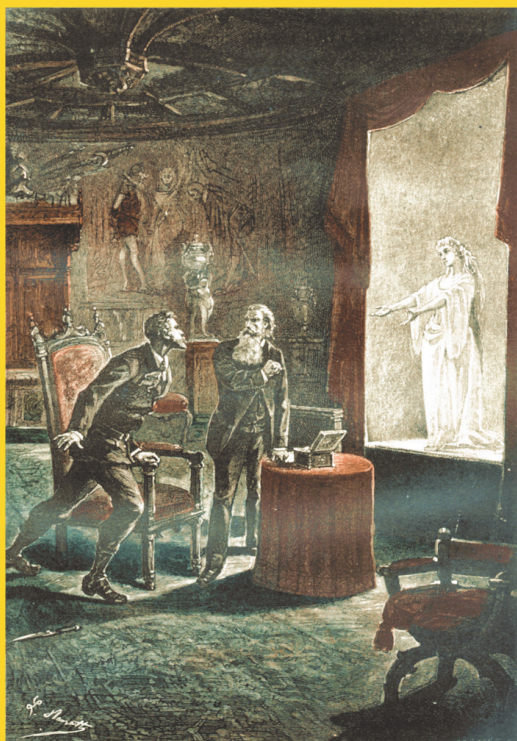




Juliusz Verne

Zamek w Karpatach



ISBN 978-83-66268-88-3



Juliusz Verne

ZAMEK W KARPATACH

Juliusz Verne



ZAMEK W KARPATACH

Przełożyła Iwona Janczy

**Dziewięćdziesiąta pierwsza publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Château des Carpathes

© Copyright for the Polish translation
by Iwona Janczy, 2021

40 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych: Léon
Benett (zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Andrzej Zydorczak
Przypisy: Iwona Janczy i Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© **Wydawca: JAMAKASZ**

ISBN 978-83-66268-88-3

Wstęp

„Zamek w Karpatach” wyróżnia się na tle innych utworów Juliusza Verne’a. Z jednej strony znajdujemy w nim charakterystyczne dla tego pisarza motywy, takie jak wynalazki naukowe czy opisy krain geograficznych, w tym wypadku rumuńskiego Siedmiogrodu, zwanego też Transylwanią, z drugiej natomiast to po trosze romans, po trosze powieść gotycka, z duchami i ponurą scenerią. Są tam także niewidoczne na pierwszy rzut oka dyskretne wskazówki odnoszące się do życia prywatnego autora, będące nawiązaniem do szyfrów, zagadek i tajnych kodów, na których oparte są fabuły na przykład „Dzieci kapitana Granta”, „Mathiasa Sandorfa” czy „Jangady”.

Bohaterką tej napisanej w 1889 r. powieści jest przedwcześnie zmarła śpiewaczka operowa Stilla, wzorowana na Estelle Hénin (1836-1865), od 1859 r. zamężnej za Charles’em Denisem Duchesne’em, którą Verne poznał najprawdopodobniej w owym 1859 r. Od 1863 do 1865 r. miał z nią sekretny romans. Już w 1869 r. nawiązał do niej w „Pływającym mieście”. W bruzdach wodnych zostawianych przez statek bohater utworu dostrzegał ‘l’ i ‘e’: „Ale cóż miałyby znaczyć te litery? Jakie wspomnienia miałyby przywoływać w sercu Fabiana? Gdyby Fabian był Francuzem, mógłbym pomyśleć, że mogą one tworzyć to fatalne słowo ‘elle’ [fr. ‘ona’], ową pierwszą i ostatnią przyczynę tyłu cierpień!”. Ostatecznie fragment ten nie wszedł do druku – został skreślony przez wydawcę.

Istnienie Estelle zostało wyjawione w 1928 r. przez kuzynkę pisarza i jego pierwszą biografkę Marguerite Allotte de la Füye, która napisała o niej: „jedyna śmiertelna, która zniewoliła jego serce. Trwało to kilka lat i utrzymywane było w największej tajemnicy. Syrena, niepowtarzalna syrena, spoczęła na koralowym cmentarzu”. Później ów skrywany związek potwierdził w 1973 r. Jean Jules-Verne, wnuk autora „Niezwykłych Podróż”. Natomiast podobieństwo między Estelle i Stillą zauważył w 1980 r. badacz twórczości Czarodzieja z Nantes Charles-Noël Martin.

W 1863 r. Estelle Duchesne urodziła drugiego syna, któremu dała na imię Jules (jakże to wymowne), natomiast niespełna pięć miesięcy przed śmiercią powiła córkę Marie (1865-1942), która, jak wszystko na to wskazuje, była owocem płomiennego romansu ze świeżo upieczonym twórcą nowego gatunku literackiego (powieści o nauce). W 1886 r. dziewczyna

owa wyszła za mąż za Luciena Bergera, a po jego śmierci w 1905 r. ponownie wstąpiła w związek małżeński, tym razem z Justinem Paterem.

Do swej nieślubnej córki Verne również nawiązał w „Zamku w Karpatach”, a także w „Sekrecie Wilhelma Storitza”, napisanym w 1898 r. i wydanym pośmiertnie (w 1910 r.) w wersji zmienionej przez Michela Verne’a, syna pisarza. W tej ostatniej powieści występuje Myra, a w pierwszej Miriota. Autor wyjaśnia etymologię tego imienia – kryjącego w sobie w sposób oczywisty, jak zauważa Norbert Percereau, imię ‘Marie’, ale też ‘marie-toi’ (‘wyjść za mąż’) oraz ‘toi, Marie’ (‘ty, Mario’) – miało ono znaczyć w języku wołoskim „mała owieczka”, co było nawiązaniem do tego, że Marie była żoną „swego” Bergera (‘berger’ to po francusku ‘pasterz’). Dodajmy jeszcze, że „Zamek w Karpatach” rozpoczyna się od pewnej daty, 29 maja, i od sceny spotkania z pewnym pasterzem. 29 – tyle lat miała Estelle, gdy zmarła. Całkiem też możliwe, że Verne poznał ją właśnie 29 maja, skoro ten dzień umieszcza na samym początku.

Jest jeszcze inna pogłoska związana z uczuciowymi inspiracjami „Zamku w Karpatach”. Herbert Lottman, biograf Verne’a, twierdzi, że miał on napisać tę powieść (i inne, których akcję umieścił w Europie Środkowej) pod wpływem zauroczenia pewną młodą Rumunką, która trafiła do Amiens pod koniec lat 70. – modystką Luizą Teutsch-Müller. Z nią również jakoby spłodził córkę, Egugénie Jeannette, która jako nastolatka przyjechała z Bukaresztu do Amiens studiować pedagogikę. Co ją ciągnęło do tego miasta?

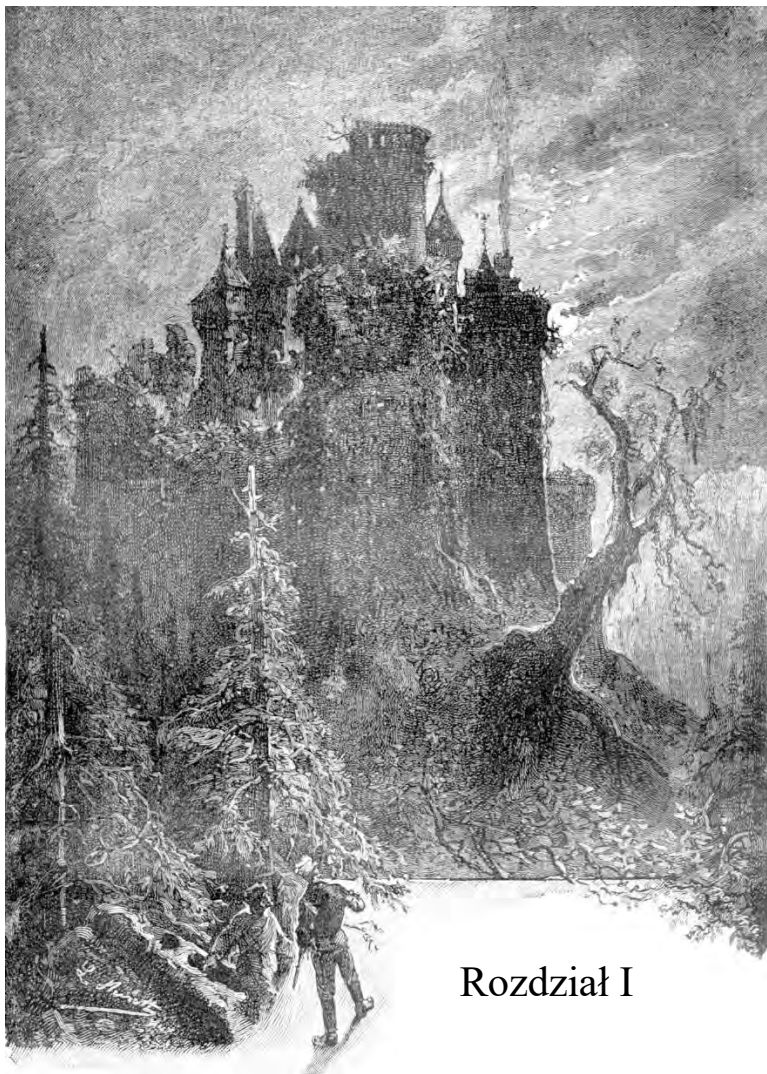
Jakkolwiek było – świadomość sercowych perypetii pisarza pozwala lepiej zrozumieć ładunek emocjonalny, jaki zawarł on w omawianej tu książce. Dla polskiego czytelnika nie bez znaczenia jest natomiast to, iż akcja powieści dzieje się stosunkowo blisko dawnych granic naszego kraju – tak niedaleko, że zapuszcza się tam pewien polski Żyd, handlujący starociami. Jego charakterystyka jest dość schematyczna i dziś trąci stereotypem, trzeba jednak brać pod uwagę, gdzie i kiedy została powołana do życia ta postać – we Francji końca XIX wieku, owładniętej antysemickim szaleństwem, którego kulminacją była sprawa Dreyfusa (1894).

Karpacki romans ukazywał się najpierw w odcinkach na łamach „Magasin d’Éducation et Récréation” (od 1 stycznia do 15 grudnia 1892 r.). W tym samym roku (w październiku) opublikowany został w jednym woluminie bez ilustracji oraz w okazałej jednotomowej edycji z 40 rycinami Léona Benetta. Na polski przekład (autorstwa Bronisławy Kowalskiej) nie trzeba było długo czekać – już w tym samym 1892 r. prezentował go po kawałku „Przyjaciel Dzieci”, zaś dwa lata później do rąk czytelnika

ków trafiła książka, w tłumaczeniu tajemniczego J.J. Oficyna Gebethnera i Wolffa zaferowała ją zarówno w miękkich, jak i płóciennych okładkach. Jeszcze w 1898 r. czytali tę powieść Polacy za oceanem, w „Dzienniku Chicagowskim”, a potem na dziewięćdziesiąt lat zniknęła z naszego pola widzenia. Wznowiła ją dopiero w 1988 r. Krajowa Agencja Wydawnicza, spolszczoną przez Waława Leszka Kobielę. W 2016 r. spółka Hachette Polska odświeżyła ów przekład J.J. i zaferowała go z oryginalnymi XIX-wiecznymi grawiurami w eleganckiej serii „Niezwyczajne Podróże Juliusza Verne’a”.

Dziś polscy czytelnicy otrzymują pierwsze tłumaczenie wolne od skrótów i przeinaczeń, nie tylko z kompletem ilustracji Benetta, ale też z dużą liczbą wnikliwych przypisów.

dr Krzysztof Czubaszek
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

Nasza historia nie jest powieścią z pogranicza fantastyki, a jedynie romantyczną opowieścią. Czy dlatego, że przedstawione w niej wydarzenia zdają się niemożliwe, powinniśmy od razu uznać ją za nieprawdziwą? Z pewnością byłby to błąd.

Żyjemy w czasach, w których już wszystko się wydarzyło – albo prawie wszystko. Nawet jeśli nasza opowieść dzisiaj jest jeszcze trochę nieprawdopodobna, to z pewnością w niedalekiej przyszłości, dzięki możliwościom nauki, nikt nie ośmieli się zaliczyć jej w poczet bajek. Zresztą u schyłku praktycznego i pozytywistycznego wieku XIX nie tworzy się legend, i to ani w Bretanii, krainie koriganów¹, ani w Szkocji, ziemi brownies² i gnomów³, ani też w Norwegii – ojczyźnie asów⁴, elfów⁵, sylfów⁶ i walkirii⁷, ani nawet w Transylwanii⁸, gdzie obramowanie Karpat tworzy jak najodpowiedniejszą dekorację dla wszelkich psychicznych i psychodelicznych podszeptów. Musimy jednak przyznać, że transylwańska kraina wciąż jest mocno przywiązana do starożytnych przesądów.

Te odległe prowincje na rubieżach Europy opisał pan Gerando⁹, przemierzył zaś Élisée Reclus¹. Jednak żaden z nich

¹ *Korigan* – w ludowej tradycji bretońskiej zły duch, karzeł lub wróżka.

² *Brownies* – skrzaty występujące w folklorze szkockim, przyjazne duszki domowe.

³ *Gnomy* – w wierzeniach ludowych duchy podziemia o postaci karłów, opiekunowie kopalni i skarbów.

⁴ *Asowie* – w mitologii skandynawskiej olbrzymy o ludzkich postaciach.

⁵ *Elfy* – chochliki, duszki wodne lub leśne, postaci występująca w mitologiach germańskiej i skandynawskiej.

⁶ *Sylfy* – w wierzeniach średniowiecznych duchy powietrza, z którym mógł się przyjaźnić człowiek, który zachował czystość duszy.

⁷ *Walkirie* – w mitologii skandynawskiej córki Odyna, wojownicze dziewice jeżdżące na skrzydlatych koniach i wilkach; zabierały w zaświaty, do Walhalli, dusze dzielnych wojowników poległych w walce, służyły także jako wysłanniczki bogów.

⁸ *Transylwania* (Siedmiogród) – kraina historyczna w środkowej Rumunii, na Wyżynie Siedmiogrodzkiej.

⁹ Atilla de Gerando (1846-1897) – węgierski właściciel ziemski, dziennikarz, doktor prawa; pisał wiersze, także dzienniki i artykuły etnograficzne dla czasopism; był stałym członkiem „Revue de Geographie” w Paryżu, w której zamieszczał artykuły o Węgrzech.

nie pisał nawet słówka na temat dziwacznej historii, stanowiącej kanwę naszej opowieści. Czy ją znali? Być może, lecz wyraźnie nie podzielali w nią wiary. Wielka to szkoda, gdyż kto jak kto, ale oni opowiedzieliby ją najlepiej – jeden z precyzją kronikarza, a drugi z wrodzoną mu nutką poezji, która przepelnia wszystkie jego podróżnicze relacje.

Skoro jednak ani jeden, ani drugi tego nie zrobił, podejmem się tego za nich.

Dwudziestego dziewiątego maja pamiętnego roku pewien pasterz pilnował stada na skraju zielonej równiny leżącej u stóp Retezatu², pasma wznoszącego się ponad urodzajną doliną, zalesioną drzewami o prostych pniach i obfitującą w piękne uprawy. Północno-zachodnie wiatry, zwane galerna³, każdej zimy gołą ten niczym nieosłonięty, wysoko położony płaskowyż niczym golibroda ostrą brzytwą. Wtedy w tej krainie mówi się, że ktoś „dał sobie przystrzyc brodę” – co zresztą często jest bliskie prawdy.

Wspomniany pasterz nie miał zgoła nic arkadyjskiego⁴ w swym odzieniu ani nic sielankowego w zachowaniu. Bynajm-

¹ *Élisée Reclus* (1830-1905) – francuski geograf i podróżnik; od 1892 profesor Instytutu Geograficznego w Brukseli; w roku 1851 podróżował po USA, Kolumbii i Ameryce Środkowej; skazany na wygnanie za działalność polityczną; autor *La Nouvelle Géographie universelle, la terre et les hommes* (*Nowa geografia ogólna, ziemia i ludzie*) w 19 tomach.

² *Retezat* – u J. Verne’a: Retyezet; masyw górski w południowo-zachodniej Rumunii, najbardziej na zachód wysunięty wysoki masyw Karpat Południowych, ograniczony od zachodu dolinami Temeszu i Cernej, od wschodu – Strei i Jiu; najwyższy szczyt Peleaga, 2509 m; zbudowany z granitów i innych skał krystalicznych; rejon bardzo przypominający Tatry.

³ *Galerna* – nagła i gwałtowna burza z silnymi podmuchami wiatru z zachodu lub północnego zachodu, która wpływa na obszary przybrzeżne Zatoki Biskajskiej, głównie wiosną i jesienią; dotyczy to szczególnie środkowej i wschodniej części północnego wybrzeża Hiszpanii i południowo-zachodniej części Francji.

⁴ *Arkadia* – kraina wszelkiej szczęśliwości, raj ziemski; od Arkadii, krainy na Półwyspie Peloponeskim.

niej nie był ani Dafnise¹, ani Amyntasem², ani Tityrem³, Lycidasem⁴ czy Melibeuszem⁵. U jego stóp, obutych w toporne drewniane saboty, nie szemrał Lignon⁶, lecz wołoski Sil, którego chłodne, sielskie wody byłyby godne płynąć poprzez meandry powieści *Astrea*⁷.

Frik, Frik z wioski Werst – bo tak zwał się ów wiejski pastuch – wyglądem swym do złudzenia przypominający swe zaniebane zwierzęta, kontentował się zakwaterowaniem w odrażającej budzie stojącej na skraju wsi, gdzie jego owce i świnie żyły w przerażającym brudzie, a słowo to doskonale oddawało przeciętny stan wszystkich owczarni w całym komitacie⁸.

Tak więc „nieprzeliczone stada bydła” pasły się pod kierunkiem wspomnianego Frika, dzierżawcy we własnej osobie. Ten, rozwalony na pagórku porośłym trawą, drzemał na jedno oko, na drugie czuwając, z wielką fajką w ustach i od czasu do czasu, gdy któreś z jagniąt oddaliło się z pastwiska, pogwizdując na psy lub świszcząc na cybuchu, a dźwięk ten niosło i odbijało od gór echo.

¹ *Dafnis* – syn Hermesa i jednej z nimf; zaraz po urodzeniu matka porzuciła go w gaju wawrzynowym; przygarnęły go i wychowały nimfy i bóstwa leśne; wyrósł na pięknego młodzieńca, pasł kozy i śpiewał pieśni; uważano go za twórcę poezji bukolicznej.

² *Amyntas* (Aminta) – pasterz, tytułowy bohater dramatu pasterskiego Torquata Tassa, wystawionego w 1573 roku (druk 1580).

³ *Tityr* – pasterz, bohater bukoliki Wergiliusza.

⁴ *Lycidas* – imię pasterza w sielankach Teokryta a także Wergiliusza.

⁵ *Melibeusz* – pasterz, bohater bukoliki Wergiliusza.

⁶ *Lignon* – nazwa rzeki w powieści *Astrea*.

⁷ *Astrea* (*L'Astrée*) – powieść sielankowa Honoré d'Urfé (1567-1625) publikowana w częściach między rokiem 1607 a 1627; ze względu na jej objętość i sposób konstrukcji fabuły uznawana za pierwszą w literaturze francuskiej powieść rzekę; ogromny sukces czytelniczy, jaki odniosła we Francji i w Europie, sprawił, że zyskała również miano „powieści nad powieściami”.

⁸ *Komitat* – jednostka administracyjna pierwszego rzędu w podziale administracyjnym Węgier oraz Chorwacji, odpowiadająca polskiemu województwu.

Była już czwarta po południu. Słońce poczynало się chylić. Kilka szczytów, których podstawy kryły ruchome mgły, rozjaśniło się na wschodzie. Z kolei na południowym zachodzie dwa pęknięcia w górskim łańcuchu przepuszczały ukośną wiązkę promieni, niczym strumień światła przenikający przez uchylone drzwi.

Tutejszy system orograficzny należał do najbliższej części Transylwanii i stanowił część komitatu Klausenburg czy Kolozsvár¹.

To ciekawy kawałek Cesarstwa Austriackiego ta Transylwania, po węgiersku „Erdély”, to znaczy „kraina lasów”. Na północy stykająca się z Węgrami, z Wołoszczyzną na południu i Mołdawią na zachodzie, rozciągająca się na sześćdziesięciu tysiącach kilometrów kwadratowych, czyli sześciu milionach hektarów – co stanowi plus minusz dziewiątą część Francji – jest czymś w rodzaju Szwajcarii, jednak prawie dwa razy większej niż włości helweckie, ale nie bardziej zaludnionej. Transylwanię z jej płaskowyżami przeznaczonymi pod uprawy, bujnymi pastwiskami, kapryśnie zarysowanymi dolinami, wyniosłymi szczytami, usianą rozgałęzieniami Karpat o pochodzeniu plutonicznym², przecinają liczne rzeki, które niosą wody do Theiss³ i wspaniałego Dunaju, którego Żelazne Wrota, kilka mil⁴

¹ *Kolozsvár* – u J. Verne’a: Kolosvar; miasto, nieformalna stolica Transylwanii, obecnie w Rumunii jako Kluż-Napoka; nazewnictwo zmieniało się w zależności od warunków historycznych.

² *Skaly plutoniczne* – skały magmowe lub głębinowe, do których krystalizacji doszło na dużych głębokościach.

³ *Theiss* – niemiecka nazwa Cisa, rzeki w środkowej części Europy; stanowi lewy, najdłuższy dopływ Dunaju (977 km); przepływa przez Ukrainę, Węgry i Serbię, w górnym biegu na krótkich odcinkach jest rzeką graniczną pomiędzy Ukrainą a Rumunią i Węgrami oraz między Słowacją a Węgrami.

⁴ *Żelazne Wrota* (Żelazna Brama) – przełomowy odcinek doliny Dunaju, oddzielający Karpaty Południowe i Góry Wschodnioserbkie; stanowi granicę między Rumunią i Serbią; długość ok. 150 km, jest wąska (nawet po-

na południe, zamykają bałkański łańcuch na granicy Węgier i imperium osmańskiego.

Tak oto przedstawiała się dawna kraina Daków¹, podbita przez Trajana w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej. Niepodległość, jaką cieszyła się za panowania Jana Zápolyi² i jego następców aż do roku 1699, zakończyła się definitywnie wraz z Leopoldem I³, który włączył te tereny dla Austrii. Jednak bez względu na swoją przynależność polityczną pozostaje wspólnym siedliskiem dla różnych ras, które stykają się tam, choć nie mieszają: Wołochów czyli Rumunów, Węgrów, Cyganów, Szeklerów⁴ pochodzenia mołdawskiego, a także Sasów⁵, którzy z upływem cza-

niżej 150 m) i kręta, miejscami wcinają się do 1000 m pomiędzy przyległe pasma górskie; w przeszłości żegluga po niej uniemożliwiały progi skalne, wysadzone w latach 1890-1896; *Kilka mil* – mila węgierska liczy ok. 7,5 tys. m [przypis J. Verne'a].

¹ *Dakowie* – starożytny lud zamieszkujący tereny obejmujące w przybliżeniu obecną Rumunię; rolniczy, trudniący się również górnictwem i obróbką metali (bogate złoża złota, srebra, rud żelaza); ok. 60 roku p.n.e. zjednoczony przez Burebistę w krótkotrwały związek plemienny, wznowiony w 87 roku n.e. przez Decebalą i przekształcony w silną organizację państwową; w latach 101-106 pokonany przez Trajana, a kraj zmieniony w rzymską prowincję Dację.

² Jan *Zápolya* (1487-1540) – król węgierski od 1526 roku; jako wojewoda siedmiogrodzki stłumił powstanie G. Dózsy; po klęsce wojsk węgierskich pod Mohaczem wybrany na króla; walczył o tron z Ferdynandem I, bratem cesarza Karola V; w roku 1527 przyjął zwierzchnictwo tureckie; żonaty z Izabelą, córką Zygmunta I Starego i Bony.

³ *Leopold I* z dynastii Habsburgów, (1640-1705) – król węgierski od roku 1655, czeski od 1656, cesarz rzymsko-niemiecki od 1658, syn cesarza Ferdynanda III; prowadził wojny z Turcją latach 1663-1664 i 1683-1699; po drugiej z nich (odsiecz Wiednia przez Jana III Sobieskiego) odzyskał Węgry.

⁴ *Szeklerzy* – grupa ludności węgierskiej w południowo-wschodnim i środkowym Siedmiogrodzie; przypuszczalnie wywodząca się z ludności pochodzenia tureckiego, zmadziaryzowanej po podboju w IX wieku Siedmiogrodu przez Węgrów; ich zadaniem była obrona wschodniej granicy państwa.

⁵ *Sasi* siedmiogrodzcy – ludność niemiecka w Siedmiogrodzie; w XII wieku władcy węgierscy rozpoczęli osiedlanie Niemców w Siedmiogrodzie wokół

su i wskutek różnych okoliczności w końcu madziaryzują się z niewątpliwą korzyścią dla transylwańskiej jedności.

Do jakiegoż to typu przynależał nasz pasterz Frik? Był może przykładem zwyrodniałego potomka starożytnych Daków? Trudno by było to stwierdzić na podstawie widoku jego potarganej czupryny, pooranej twarzy, obfitej, skołtunionej brody, brwi gęstych niczym dwie szczotki o czerwonym włosiu, ni to zielonych, ni to niebieskich, zażawionych oczu, których wilgotne kąciki otaczały starcze woreczki. To, że miał z sześćdziesiąt pięć lat – na oko zdawało się absolutnym minimum. Jednakże był wysoki, szczupły i trzymał się prosto pod okrywającą go żółtawą *sayon*¹, mniej owłosioną niż jego własna pierś. Z pewnością żaden malarz nie pogardziłby zrobieniem portretu tego osobnika, gdy w plecionym kapeluszu, prawdziwym słomianym wiechciu, wspierał się na swoim zakrzywionym kiju, równie nieruchomy jak skała.

Kiedy promienie słońca stały się widoczne poprzez wyrwę w masywie górskim od zachodu, Frik się odwrócił, a następnie – tak jak robi się tubkę przy uchu, by lepiej usłyszeć – na wpół zwiniętą dłonią osłonił oczy i począł uważnie się czemuś przyglądać.

W prześwicie na horyzoncie, w odległości dobrej mili, choć bardzo zmniejszone z powodu dystansu, majaczyły kształty jakiejś fortecy. Ten starożytny zamek stał na osamotnionym grzbiecie przełęczy Vulkan, zajmując górną część płaskowyżu zwanego płaskowyżem Orgall. W olśniewającej grze światła

Sybinu; w roku 1224 Andrzej II nadał im przywileje i autonomię terytorialną; za panowania Habsburgów (od schyłku XVII wieku) korzystali z autonomii politycznej; po wprowadzeniu dualizmu austro-węgierskiego (1867) ich autonomia została zniesiona.

¹ *Sayon* – rodzaj rozpiętej marynarki noszonej dawniej przez wojowników lub chłopów.

jego sylwetka rysowała się wyraźnie, z ostrością porównywalną do widoków stereoskopowych¹. Niemniej oczy pastucha musiały posiadać wielką zdolność widzenia, by z tej odległości rozróżnić każdy szczegół masywu.

Wtem pastuch zakrzyknął, kiwając gwałtownie głową:

– Stare zamczysko! Stare zamczysko! Na próżno jesteś dobrze osadzone na swych posadach...! Nie miną trzy lata, gdy obrócisz się w ruinę, bo na twoim buku zostały tylko trzy gałęzie!

Wspomniany buk, rosnący na końcu jednego z bastionów zamczyska, odcinał się czarno na tle nieba jak papierowa wycinanka, i doprawdy z tej odległości nie byłby prawie widoczny dla nikogo poza Frikiem. Co się zaś tyczy wyjaśnienia słów pasterza, to wiązały się z pewną legendą odnoszącą się do zamku, którą przytoczymy w odpowiednim czasie.

– Tak! Tak! – powtórzył. – Trzy gałęzie... Wczoraj były jeszcze cztery, ale czwarta spadła tej nocy... Został po niej kikut... na rozgałęzieniu zostały już tylko trzy... Nie więcej niż trzy, stare zamczysko... nie więcej niż trzy!

Kiedy myślimy o wzorcowym pasterzu, chętnie dajemy się ponieść wyobraźni, by widzieć w nim ideał – istotę marzycielską i kontemplacyjną, rozmawiającą z planetami, porównującą się z gwiazdami, czytającą w niebie. W rzeczywistości typowy pastuch bywa zazwyczaj brutalnym ignorantem czy wręcz zakutym łbem. Jednak powszechne mniemanie łatwo przypisuje mu nadprzyrodzone zdolności: władanie urokami,

¹ *Widoki stereoskopowe* – przestrzenne obrazy uzyskiwane metodą stereoskopii, techniki polegającej na wykonaniu dwóch zdjęć obiektu z różnych punktów widzenia; do ich oglądania służył stereoskop, urządzenie złożone z dwóch lekko powiększających i ułożonych obok siebie soczewek dających efekt przestrzennego widzenia obiektu; moda na fotografię stereoskopową zaczęła się w roku 1851 i trwała do lat 30. XX wieku.

a w zależności od nastroju wyczarowywanie zaklęć lub rzucanie ich na ludzi i zwierzęta – co w tym przypadku wychodzi na jedno. Ma się go za kogoś, kto przyrządza i sprzedaje tajemnicze mikstury i receptury dobre na wszystko. Czy nie posuwa się tak daleko, aby uczynić bruzdy jałowymi, rzucając w nie zaczarowane kamienie, a owce bezpłodnymi, tylko spojrzawszy na nie złym okiem? Takie zabobony istnieją w każdych czasach i we wszystkich krajach. Nawet w o wiele bardziej ucywilizowanych wsiach nikt nie odważy się minąć pastucha bez przyjaznych słów, grzecznego powitania, bez tytułowania go „pasterzem”, co szczególnie mu schlebia. Uchylenie kapelusza pozwala uniknąć złych czarów, a na transylwańskich drogach nie dzieje się to inaczej niż gdzie indziej.

Frik uważany był za czarnoksiężnika, przywoływacza fantastycznych zjaw, rozumie się że także wampirów i strzyg¹, które go bezwzględnie słuchały. Wierząc powszechnej opinii, spotykano go, gdy w ciemne bezksiężycowe noce ostatniego lutego przestępnego roku siedział okrakiem na młyńskiej śluzie i gadał z wilkami lub rozmarzony wpatrywał się w gwiazdy.

Frik pozwalał tak mówić, ciągnąc z tego korzyści. Handlował urokami i równocześnie środkami na ich odczynianie. Należy jednak zauważyć, że sam był równie łatwowierny jak jego klientela, a jeśli nawet nie wierzył we własne czary, to przynajmniej dawał wiarę licznym legendom krążącym po okolicy.

Nie dziwi więc fakt, że skoro buk został zredukowany do trzech gałęzi, on wysnuł prognozę rychłego zniknięcia starego zamku, ani to, że spieszył się z przekazaniem tej wieści do Werstu.

¹ *Strzyga* (łac. *strix*, sowa) – w wierzeniach ludowych wampirzyca karmiąca się ludzką krwią, wyobrażana jako odrażająca kobieta lub pod postacią czarnego ptaka (sowy); również latająca czarownica działająca na szkodę ludzi za pomocą czarów (np. odbierająca krowom mleko).

Zebrawszy swoje stado, trąbiąc ile sił w płucach na długim cybuchu swojej fajki z białego drewna, Frik ruszył drogą do wioski. Psy podążały za nim, nękając stado – psy, a może raczej dwa wściekle kundle, półgryfony¹, warczące i drapieżne, które wydawały się bardziej odpowiednie do pożerania owiec niż do ich pilnowania. Stado liczyło około stu baranów i owiec, w tym kilkanaście jednorocznych, reszta zaś były to zwierzęta trzy- i czteroletnie, czyli o czterech i sześciu zębach stałych.

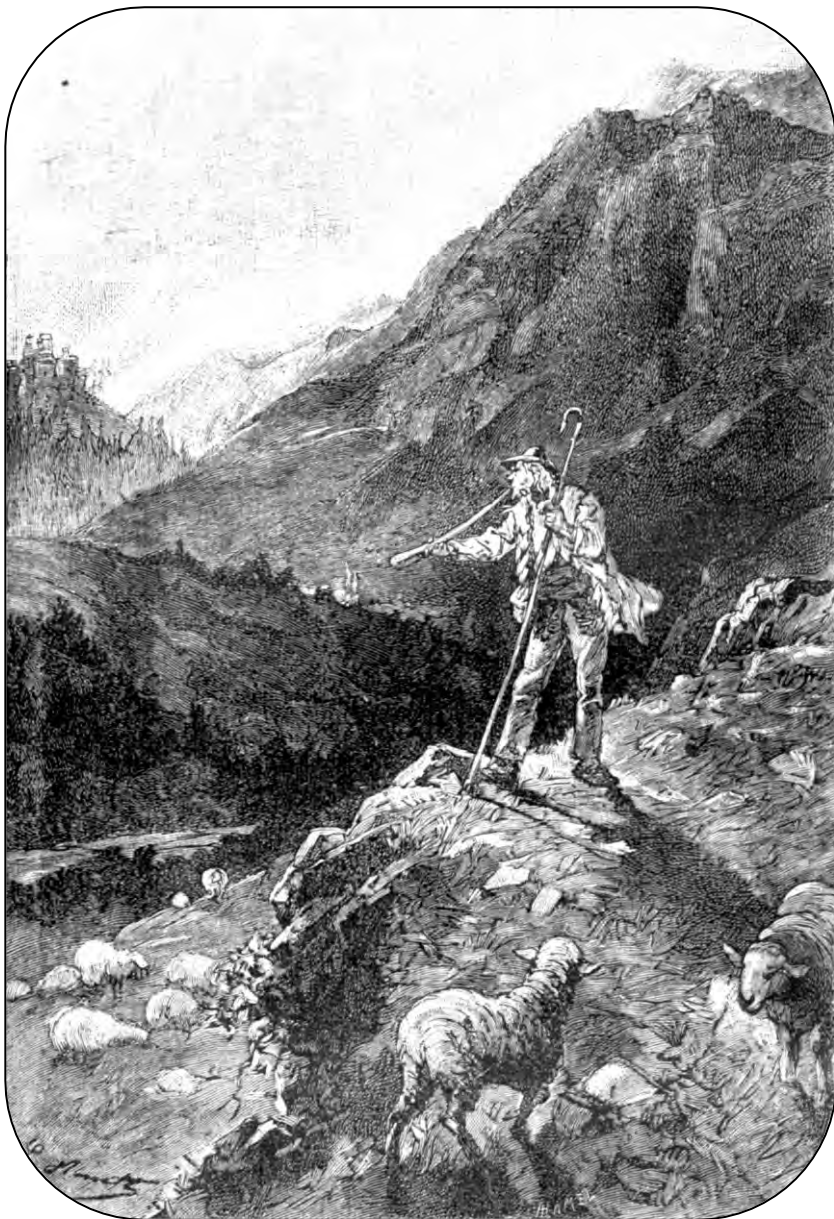
Stado należało do sędziego z Werstu, bíró² Koltza, który słono płacił gminie za wypasanie swoich owiec, gdyż bardzo cenił pastucha Frika, dobrze wiedząc, że nie ma takiego jak on do strzyży ani do leczenia chorób nękających trzody – jak pleśniawki, wścieklizna, ospa owcza, wodobrzusze, rabuza, motyllica, bębница, zanokcica czy inne schorzenia zwierząt hodowlanych.

Stado szło zwartą masą, na przedzie jego przewodnik z dzwonkiem, a za nim owce i jagnięta z beczeniem i pobrzękiwaniem dzwoneczkami.

Po opuszczeniu pastwiska Frik wybrał szeroką ścieżkę wzdłuż rozległych pól. Falowały na nich przepiękne łąny zboża, charakteryzujące się niezwykle długimi łodygami, wykorzystywanymi potem jako słoma; były tam też plantacje *koukouroutz*, czyli po prostu tutejszej kukurydzy. Droga prowadziła skrajem sosnowego i jodłowego lasu, rzucającego chłodny cień. Nieco niżej wiała się rzeczka Sil, miejscami rozświetlona słońcem i mieniąca się leżącymi na dnie kamykami, niosąca z nurtem drewniane kłody ścinane w tartakach położonych w górze rzeki.

¹ *Gryfony* – grupa ras psów należących do wyłów kontynentalnych z charakterystyczną brodą i krzaczastymi brwiami; wysokość 50-60 cm; inteligentne, z dobrym węchem, używane do polowań na wodzie i terenach bagnistych.

² *Bíró* (węg.) – sędzia.



Trąbiąc ile sił w płucach na długim cybuchu swojej fajki z białego drewna,
Frik ruszył drogą do wioski.

Zarówno psy, jak i owce zatrzymały się na niskim prawym brzegu i rozpraszając kępy trzciny, poczęły łapczywie chleptać wodę.

Werst znajdowało się nie dalej jak na trzy strzały z fuzji, tuż za wierzbowym zagajnikiem utworzonym przez wyrosnięte drzewa, a nie jakieś karłowate zarośla, które zaledwie odbiły się ponad poziom własnych korzeni. Ów gaj wierzbowy ciągnął się nieprzerwanie aż do zboczy przełęczy Vulkan, gdzie na południowym zboczu masywu Pleśa¹ leży wioska nosząca tę samą nazwę.

O tej porze okolica była całkowicie wyludniona. Rolnicy wracali do swoich domów dopiero o zmroku, dlatego po drodze Frik nawet nie miał kogo zgodnie z tradycją pozdrowić. Napojone stado już miało wejść w pofałdowane dno doliny, gdy wtem zza zakrętu, mniej więcej pięćdziesiąt kroków w dół rzeki Sil, pojawił się jakiś człowiek.

– Hej! Hej, przyjacielu! – krzyczał w stronę pastucha.

Był to jeden z tych wędrownych handlarzy, którzy obiegają targowiska komitatu. Można ich spotkać w miastach i miasteczkach, nawet w najnędzniejszych wioszczynach. Nie mają najmniejszego problemu z porozumiewaniem się, gdyż mówią w każdym języku. Ten tutaj był Włochem, Sasem czy Wołochem? Trudno było orzec. Faktycznie był polskim Żydem – wysokim i chudym, z orlim nosem, brodą przyszytych w szpic, z wypukłym czołem i żywym spojrzeniem.

Domokrążca sprzedawał okulary, termometry, barometry i małe zegary. To, czego brakowało w tobołku przytroczonym mocnymi pasami na ramionach, wisiało mu na szyi i u paska: bez

¹ Pleśa – najwyższy szczyt masywu Kereszu w Górach Zachodniorumuńskich.

dwóch zdań uliczny sprzedawca! Piękny okaz wędrownego kramarza.

Zapewne Żyd ten żywił szacunek, a może i coś w rodzaju zabobonnego strachu, który wzbudzali pasterze. Powitał więc Frika gestem ręki, a następnie w języku rumuńskim, będącym konglomeratem łaciny i języków słowiańskich, powiedział z obcym akcentem:

– Czy dobrze ci się wiedzie, przyjacielu?

– Tak... to zależy od pogody – odparł Frik.

– A więc dzisiaj masz się dobrze, bo pogoda jest piękna...

– A jutro poczuje się gorzej, gdyż będzie padało.

– Będzie padało?! – przeraził się handlarz. – Czyżby w waszych stronach deszcz padał z bezchmurnego nieba?

– Chmury nadejdą w nocy, ot... stamtąd... z drugiej strony gór – odrzekł pasterz.

– Po czym to poznajecie?

– Po wełnie moich owiec, która jest szorstka i sucha niczym garbowana skóra.

– Cóż, tym gorzej dla tych, którzy wypuszczą się w daleką drogę...

– I tym lepiej dla tych, którzy nie ruszą się za próg własnych domów.

– Do tego trzeba jeszcze posiadać własny dom, mój pasterzu.

– Macie dzieci? – zainteresował się Frik.

– Nie.

– Jesteście żonaci?

– Nie.

Frik pytał o to wszystko, gdyż w jego kraju wypadało o takie rzeczy pytać napotkanego wędrowca.

Po chwili znów podjął:

– Skąd idziecie, handlarzu?

– Z Hermannstadtu¹.

Hermannstadt było to jedno z głównych miast Transylwanii. Opuszczając go, jest się w dolinie węgierskiej rzeki Sil, która wiedzie aż do miasta Petroszany².

– A dokąd idziecie...?

– Do Kolozsvaru.

Aby dostać się do Kolozsvaru, wystarczy podążać w górę rzeki, w kierunku doliny Maruszy³, następnie przez Karlsburg⁴, by zaraz za pierwszymi wzniesieniami Masywu Bihorskiego⁵ dotrzeć do stolicy komitatu. Bagatela! Trasa na jakieś najwyżej dwadzieścia mil⁶.

Prawdę mówiąc, ci wszyscy handlarze termometrów, barometrów i lichych czasomierzy robią wrażenie trochę nie z tego świata, jakby żyli w świecie Hoffmana⁷. Zapewne wynika to z ich zajęcia, handlują bowiem czasem pod wszystkimi jego

¹ *Hermannstadt* – u J. Verne’a: Hermanstadt; niemiecka nazwa miasta Sybin (Sibiu) w środkowej Rumunii, w południowej części Wyżyny Transylwańskiej, nad rzeką Lotru (dopływ Aluty); założone w XII wieku przez kolonistów niemieckich; główny ośrodek Sasów siedmiogrodzkich; po I wojnie światowej w granicach Rumunii.

² *Petroszany* (rum. Petroșani) – miasto w południowo-zachodniej Rumunii, w okręgu Hunedoara, w Karpatach Południowych, w dolinie rzeki Jiu.

³ *Marusza* (węg. Maros, rum. Mureș) – rzeka w zachodniej Rumunii i w południowo-wschodnich Węgrzech, lewy dopływ Cisy w zlewisku Morza Czarnego; długość 883 km.

⁴ *Karlsburg* – niemiecka nazwa miasta Alba Iulia w Siedmiogrodzie, stolicy okręgu Alba, leżącej nad Maruszą.

⁵ *Masyw Bihorski* (rum. Munții Bihor) – masyw górski w Karpatach, stanowiący centralną i najwyższą część Gór Zachodniorumuńskich; położony w Siedmiogrodzie.

⁶ Około 150 km [przypis J. Verne’a].

⁷ Ernst Theodor Amadeus *Hoffmann* (1776-1822) – niemiecki pisarz i kompozytor, jeden z prekursorów fantastyki grozy; autor m.in. baśni *Dziadek do orzechów* i *Mysi król*; ożeniony z Polką Michaliną Trzciańską, przez kilka lat mieszkał w Płocku.

postaciami – i tym, co upływa, i tym, co właśnie trwa, i tym, który dopiero nadejdzie, tak jak inni domokrażcy sprzedają koszyki, trykoty i bawełniane tkaniny. Można by powiedzieć, że są komiwojażerami Domu Saturna i Spółka, pod szyldem Złotej Klepsydry. I z całą pewnością nasz Żyd takie właśnie zrobił wrażenie na Friku, który nie bez zdziwienia spoglądał na całą furę wszystkich dziwacznych przedmiotów, których przeznaczenia nie potrafił odgadnąć.

– Ej, handlarzu, a co to takiego klekocze ci u paska, jak nie przymierzając kości starego wisielca? – powiedział, wskazując ręką.

– Ach, to bardzo cenne przedmioty – odparł zapytany – każdemu przydatne.

– Każdemu?! – wykrzyknął Frik, mrugając. – To pasterzowi też...?

– Nawet pasterzowi...

– A ten mechanizm...?

– Ten mechanizm – powiedział Żyd, unosząc w dłoni termometr – powie ci, czy jest ciepło, czy zimno.

– Ejże, przyjacielu, ja to dobrze wiem, gdy pocę się pod moją marynarką albo trzęsę z zimna pod oponką.

Z całą pewnością tyle wystarczyło pastuchowi, który nie zwracał sobie głowy naukowymi wyjaśnieniami.

– A ten duży zegar ze wskazówką? – zapytał, pokazując na barometr aneroidowy¹.

¹ *Barometr aneroidowy* – przyrząd do pomiaru ciśnienia atmosferycznego; ciśnienie atmosferyczne działa na jedną (lub więcej) puszkę opróżnioną z powietrza i odpowiednio pofałdowaną (dla uzyskania elastyczności) lub na cienkościenną, łukowo wygiętą metalową rurkę; odkształcenia puszek lub rurki są wzmacniane i przekazywane na wskazówkę pokazującą na skali wielkość ciśnienia atmosferycznego.

– To nie jest żaden zegar, to instrument, który pokazuje, czy nazajutrz będzie ładnie, czy będzie padało...

– Naprawdę...?

– Naprawdę.

– No dobrze – powiedział Frik – nie chciałbym tego nawet, gdyby kosztowało tylko jednego krajcara¹. Wystarczy przecież popatrzeć, czy chmury ciągną się nisko nad górami, czy płyną powyżej najwyższych szczytów... a czy ja to niby nie wiem, jaka będzie pogoda w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin? No, popatrzcie, widzicie tę mgiełkę, która jakby wychodziła z ziemi...? No to ja wam mówię, że jutro będzie padał deszcz.

I rzeczywiście, tak uważny obserwator pogody jak Frik mógł się doskonale obejść bez barometru.

– No to nie pytam nawet, czy jest wam potrzebny zegar... – próbował handlarz.

– Zegar...? Mam taki jeden, co chodzi sam z siebie i kołysze mi się nad głową. To słońce. Widzisz, przyjacielu, kiedy słońce zatrzymuje się ponad szczytem Rodüka, to jest samo południe, a kiedy prześwieca przez zagłębienie Egelt, jest godzina szósta. Dokładnie to samo co ja wiedzą moje owce, a to, co wiedzą owce, wiedzą i moje psy... Więc zachowaj sobie ten swój rupieć.

– Cóż – zmartwił się handlarz – gdyby wszyscy moi klienci byli jak pasterze, to pewnie nie zbiłbym fortuny! Niczego nie potrzebujecie...?

– Zupełnie niczego.

Na dodatek wszystkie te towary były nie tylko bardzo tanie, ale i byle jakiej jakości. Barometry nie wskazywały dokładnie ani zmiennej, ani ładnej pogody. Wskazówki zegarów przyspie-

¹ *Krajcar* – drobna moneta na terenie Austro-Węgier; 100 krajcarów równało się jednemu guldenowi (florenowi).

szwały godziny albo opóźniały minuty, krótko mówiąc: była to czysta tandeta. Być może pasterz się tego domyślał, dlatego nie zamierzał występować w roli nabywcy. Jednak w chwili, gdy już miał sięgnąć po swój pasterski kij, spostrzegł, że przy pasie handlarza dynda coś w rodzaju długiej tuby.

– A do czego służy ta rura, którą tam macie? – zapytał.

– Ach, ta rura to nie jest zwykła rura.

– Czyżby to był garłacz?

Pasterz miał na myśli stary model strzelby z rozszerzającą się lufą.

– Nie – odparł Żyd – to jest luneta.

Była to jedna z tych pospolitych lunet, które powiększają nie więcej niż pięć do sześciu razy i tyle samo przybliżają przedmiot, co zresztą wychodzi na jedno.

Frik odczepił instrument. Oglądał go, dotykał, obracał z jednego końca na drugi i rozsuwał jeden po drugim złożone cylindry.

Potem pokiwał głową.

– Luneta? – zapytał.

– Tak, pasterzu, jeszcze jedna wspaniała rzecz, która pięknie wydłuża wzrok.

– Och, ja mam świetny wzrok, przyjacielu. Przy dobrej pogodzie widzę najdalsze skały na szczycie Retezatu i najdalsze drzewa w głębi przełęczy Vulkan.

– Bez mrużenia oczu...?

– Bez mrużenia. Zawdzięczam to rosie, gdyż sypiam od zmierzchu po świt pod gołym niebem. Oto, co świetnie obmywa źrenice.

– Co takiego...? Rosa? – odpowiedział handlarz. – Rosa prędej oślepi.

– Nie pasterza.

– Niech będzie, ale skoro macie dobre oczy, to ja, gdy przyłożę sobie do nich koniec lunety, będę miał jeszcze lepsze.

– To trzeba byłoby zobaczyć.

– Przyłóżcie do oka i sami zobaczcie...

– Niby ja...?

– Spróbujcie.

– A to nie będzie mnie nic kosztowało? – upewniał się nieufny z natury Frik.

– Nic a nic... no, chyba że zdecydujecie się kupić to urządzenie.

Uspokojony co do ostatniego, Frik ujął lunetę nastawioną wcześniej przez handlarza i zamknąwszy lewe oko, przyłożył okular do prawego.

Najpierw popatrzył w kierunku przełęczy Vulkan, przenosząc wzrok na Pleśę. Następnie opuścił instrument i znów skierował go na wioskę Werst.

– Ho! ho! – wykrzyknął. – A więc to jednak prawda... To niesie dalej niż moje oczy... i oto główna ulica... rozpoznaje nawet ludzi... Popatrz, to Nic Deck, leśniczy, który wraca z obchodu z tornistrem na plecach i fuzją na ramieniu...

– No przecież wam to mówiłem! – zauważył handlarz.

– Tak...tak... to na pewno Nic! – ciągnął pasterz. – A co to za dziewczyna wychodzi z domu sędziego Koltza... w czerwonej spódnicy i czarnym gorsecie, całkiem jakby biegła mu naprzeciw...?

– Widzisz, pasterzu, zawsze rozpoznasz dobrze i dziewczynę, i chłopca...

– Ależ tak...! to przecież Miriota... piękna Miriota! Ach ci zakochani... zakochani! No, tym razem muszą uważać, bo mam ich na końcu swojej rury i niczego nie stracę z ich zalecanek!

– I co powiecie o tym moim aparacie?

– No... że całkiem, całkiem daleko przez niego widać!

To, że Frik nigdy wcześniej nie spoglądał przez lunetę, potwierdzało tylko, że wioska Werst zaliczała się do jednych z najbardziej zacofanych w komitacie Klausenburg. A że to była najprawdziwsza prawda, to wkrótce zobaczymy.

– Dalej, pasterzu – zachęcał sprzedawca – popatrzcie sobie jeszcze... dalej niż Werst... Wioska jest całkiem blisko. Wyceľujcie dalej, w tamtą stronę, mówię wam...!

– A nic mnie to nie będzie kosztowało? – upewniał się pasterch.

– Ani grosza...

– No dobrze... to popatrzę sobie w stronę węgierskiego Silu! No... proszę... dzwonnica w Livadzel... rozpoznaję ją po krzyżu o jednym ramieniu... A tam dalej, pośród jodeł, dostrzegam dzwonicę w Petroszanach, z jej blaszanym kogutem o otwartym dziobie, całkiem jakby zwoływał swoje kurki...! A tam, ta wieża, która wyrasta pośród drzew... to musi być wieża w Petri-li¹... Ale, handlarzu... zaczekajcie jeszcze... bo skoro ta cena ciągle ta sama...

– Ciągle ta sama, pasterzu.

Frik powędrował spojrzeniem ku płaskowyżowi Orgall, a następnie końcem swojego teleskopu podążył poza zasłonę ciemnych lasów na zboczach Pleśy, i w okularze pojawiła się odległa sylwetka zamczyska.

– Ależ tak! – zawołał. – Czwarta gałąź leży na ziemi... Dobrze widziałem! Na pewno nikt nie pójdzie jej zabrać, by zrobić z niej ładną świętojańską pochodnię... Nikt... nawet ja sam! To byłoby za wielkie ryzyko i dla duszy, i dla ciała. Ale nie ma

¹ *Petrila* – u J. Verne’a: Petrilla; miasto w Rumunii, w Siedmiogrodzie, w okręgu Hunedoara; rozwinęło się w XIX wieku po założeniu w okolicy kopalni węgla kamiennego.

obawy! Jest ktoś, kto będzie wiedział, jak ją wepchnąć dziś wieczorem w sam środek jego piekielnego ognia... To sam Czort!

Czort – tak nazywany jest diabeł, gdy wspomina się o nim podczas pogaduszek w tej krainie.

Być może wędrowny Żyd poprosiłby o wyjaśnienie tych słów, mało zrozumiałych dla kogoś, kto nie był z wioski Werst czy z jej najbliższej okolicy, gdyby nie to, że nagle Frik wydał okrzyk, w którym mieszało się przerażenie ze zdumieniem.

– Co to za mgła wydobywa się z baszty zamczyńska...? Jakiś opar? Nie...! Wygląda na dym... Ależ to niemożliwe! Przecież od lat zamkowe kominy nie dymią!

– Skoro widzicie tam dym, pasterzu, to znaczy, że jest dym.

– Nie, nie handlarzu...! To pewnie szkiełko twojej lunety jest zadymione...

– Przetrzyjcie je...

– A jak je wytrę?

Frik odwrócił lunetę, przetarł szkiełko rękawem i powrócił do obserwacji.

Nie było wątpliwości, ze szczytu baszty wydobywał się dym. Wznosił się w spokojnym powietrzu prosto w górę, a jego pióropusz mieszał się z wysokimi chmurami.

Frik zastygł bez ruchu i bez słowa. Cała jego uwaga skupiła się na odległym zamku, którego rosnący cień dosięgnął już płaskowyżu Orgall.

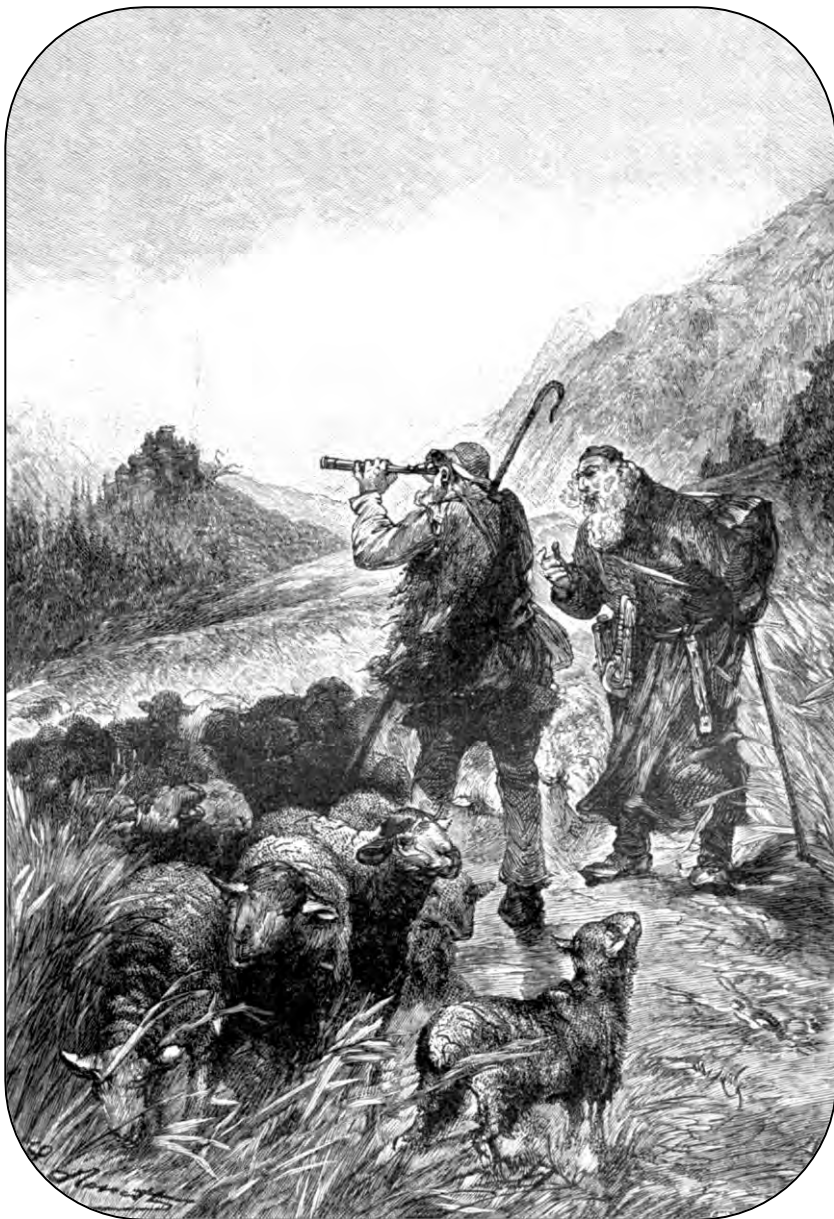
Wtem opuścił lunetę i sięgając ręką do sakiewki pod marynarką, zapytał:

– Ile za tę waszą rurę?

– Półtora florena¹ – odpowiedział handlarz.

Oddałby ją nawet za florena, gdyby tylko Frik wykazał chęć potargowania się. Ale pasterz nawet nie drgnął. Wyraźnie pod

¹ Około 3,60 franka [przypis J. Verne'a].



– Co to za mgła wydobywa się z baszty zamczyska...?
Jakiś opar? Nie...! Wygląda na dym...

wpływym jakiegoś zaskoczenia, tyleż nagłego, co całkowicie niewytłumaczalnego, zanurzył dłoń w sakiewce i wyciągnął pieniądze.

– Dla siebie kupujecie tę lunetę? – zaciekał się handlarz.

– Nie... dla mojego pana, sędziego Koltza.

– No to on wam zwróci...

– Tak, te dwa floreny, które mnie kosztowała.

– Jak to, dwa floreny...?!

– Ech, bez wątpienia! Kończmy już, dobrej nocy, przyjacielu.

– Dobrej nocy, pasterzu.

Frik zagwizdał na psy i szybko popędził stado w kierunku Werstu.

Żyd spoglądał za nim i kręcił głową, jakby spotkał jakiegoś wariata.

– Gdybym wiedział – mrucał sam do siebie – sprzedałbym swoją lunetę drożej!

Następnie zarzucił sobie na plecy i umocował paskami swój przenośny kramik i ruszył w stronę Karlsburga, cały czas schodząc ku dolinie wzdłuż prawego brzegu rzeki Sil.

Dokąd szedł? To już nie ma żadnego znaczenia, gdyż właśnie opuścił naszą historię i więcej go nie zobaczymy.



Rozdział II

Niezależnie od tego, czy chodzi o skały spiętrzone przez naturę w odległych epokach geologicznych, po ostatnich górotwórczych konwulsjach ziemi, czy też o konstrukcje wzniesione ręką człowieka, na których upływ czasu odcisnął swe piętno, gdy obserwuje się je z odległości kilku mil, wyglądają podobnie. Łatwo można pomylić kamień naturalny z kamieniem obrobionym. Z daleka mają ten sam kolor, te same kształty, takie same odchylenia linii w perspektywie i ten sam szary odcień prześwitujący spod patyny wieków.

Tak właśnie było z naszą fortecą – czyli karpackim zamczyskiem. Rozróżnienie jego niezdecydowanych kształtów na tle płaskowyżu Orgall, wieńczącego po lewej stronie przełęcz Vulkan, było prawie niemożliwe. Jego kształt zupełnie nie odcinał się na tle gór. To, co zdawało się basztą, równie dobrze mogło stanowić część kamiennego rumowiska. Ktokolwiek na niego spogląda, sądzi, że oto ma przed sobą blanki kurtyny¹, tymczasem dostrzega tylko skalisty grzbiet górski. Widok jest niejasny, płynny, niepewny. Tak więc zdaniem niektórych turystów zamek karpacki istnieje wyłącznie w wyobraźni mieszkańców tutejszego komitatu.

Oczywiście najprostszym sposobem, by się upewnić, byłoby ustalenie ceny z przewodnikiem z Vulkan lub Werstu, udanie się w górę przełęcz, wdrapanie na grzbiet i zwiedzenie znajdującej się tam budowli. Lecz znaleźć przewodnika jest jeszcze

¹ *Kurtyna* – część fortyfikacji obronnej; prosty odcinek wału ziemnego, często umocnionego murem z cegły lub kamienia, cofnięty względem bastionów, łączący ze sobą poszczególne bastiony.

trudniej, niż trafić na ścieżkę prowadzącą do zamku. W krainie dwóch Siłów nikt, za żadne pieniądze nie zgodziłby się poprowadzić obcego wędrowca do karpackiego zamku.

Jakkolwiek było, gdybyśmy dysponowali mocniejszą i lepiej ustawioną lunetą niż tandetny instrument kupiony przez pasterza Frika w imieniu mistrza Koltza, oto co byśmy zobaczyli z tej antycznej budowli:

Osiemset lub dziewięćset stóp¹ za przełęczą Vulkan wznosi się mur o barwie piaskowca, pokryty bezładnym gąszczem pnących roślin. Mur o obwodzie od czterystu do pięciuset sążni² zakręca, podążając za nierównościami płaskowyżu; na każdym jego końcu znajdują się dwa narożne bastiony; ten po prawej stronie, w którym wyrósł właśnie ów słynny buk, zwieńczony jest dodatkowo niewielką wieżyczką czy też budką strażniczą ze spiczastym dachem. Po lewej kilka odcinków muru podpartego ażurowymi przyporami podtrzymuje dzwonnice kaplicy, której pęknięty dzwon, kołysany silnymi podmuchami wiejących tu wiatrów, wydaje od czasu do czasu głuche dźwięki, ku przerażeniu okolicznych mieszkańców. Pośrodku wreszcie, otoczony blankowanym podestem, stoi solidny donżon³ z trzema rzędami okien o szybkach oprawnych w ołów. Całe pierwsze piętro otoczone jest okrągłym tarasem; z najwyższej zaś położonej platformy wyrasta żelazny pręt ozdobiony przeżartym rdzą wiatrowskazem, który z ostatnim uderzeniem galemy na trwale ustawił kurka na południowy wschód.

Jeśli chodzi o to, co kryło się za tym mocno niekompletnym ogrodzeniem, czy był tam jakiś budynek nadający się do zamiesz-

¹ *Stopa* – miara długości, tu stopa wiedeńska równa 0,3161 m.

² *Sążeń* – dawna jednostka długości równa rozpiętości rozstawionych ramion; w różnych krajach miał od 170 do 215 cm (w Polsce 176 cm); tu sążeń wiedeński równy 1,90 m.

³ *Donżon* – obronna wieża lub baszta wewnątrz średniowiecznego zamku, pełniąca funkcję skarbcza i stanowiąca ostatni punkt oporu załogi.

kania, czy działał most zwodzony albo istniała jakaś boczna furtka, która umożliwiłaby wejście poza mury, tego od wielu lat nikt już nie wiedział. W rzeczywistości, chociaż zamek w Karpatach był znacznie lepiej zachowany, niż wskazywał na to jego wygląd, zaraźliwy strach podwojony zabobonami chronił go dużo lepiej niż niegdyś basiliki, koniki polne, bombardy, kolubryny, lejki¹ i inne artyleryjskie działa z dawnych epok.

A przecież karpacki zamek wart był odwiedzenia przez turystów i archeologów. Jego położenie na szczycie płaskowyżu Orgall jest wyjątkowo piękne. Z górnej platformy donżonu rozciąga się nieporównywalny z niczym widok aż po kraniec górskiego masywu. Poza tym kapryśnie rozgałęzionym wysokim łańcuchem wije się granica Wołoszczyzny. Z przodu przebiega głęboka, kręta dolina Vulkan, praktycznie jedyna dostępna droga do sąsiednich prowincji. Za doliną dwóch Siłów zaczynają się miasteczka: Livadzel, Lonyai, Petroszany i Petriła, skupione wokół szybów wydobywczych, wykorzystywanych do eksploatacji tego bogatego zagłębia węglowego. Dalej, na ostatnim planie, widać łańcuchy wysokich grzbietów, zalesionych u podstawy, o pokrytych zielenią zboczach i jałowych szczytach, gdzie dominują dwa najwyższe, strome wierzchołki: Retezat i Pâring². Wreszcie, jeszcze dalej niż dolina Hatszeg i bieg rzeki Marusza, pojawiają się odległe sylwetki tonących we mgle Alp środkowej Transylwanii.

Na dnie tego leja, wielkiego zapadliska gleby, znajdowało się niegdyś jezioro pochłaniające obie odnogi Sili, nim ich wart-

¹ *Basilika* – rodzaj kolubryny o wydłużonej lufie; *konik polny* – rodzaj działa nieposiadające wzmocnionego zamka; *bombarda* – początkowo: machina oblężnicza miotająca kamienie lub belki, od XIV wieku działa o dużym kalibrze i krótkiej lufie; *kolubryna* – ogólna nazwa odprzodowych dział artyleryjskich używanych w XVI i XVII wieku; *lejek* – rodzaj działa miotającego strzały.

² Retezat wznosi się na 2496 m n.p.m. (właśc. 2482 m), a Pâring (u J. Verne'a: Paring), na 2414 m n.p.m. (właśc. 2518 m) [przypis J. Verne'a].

kie wody znalazły przejście przez górski łańcuch. Obecnie to zagłębienie stało się jedną wielką kopalnią węgla, ze wszystkimi wadami i zaletami podobnego przedsięwzięcia. Tak więc wysokie ceglane kominy wyrastają spomiędzy gałęzi topól, jodeł i buków; czarne dymy psują powietrze, wcześniej przesycone zapachem drzew owocowych i kwitnących kwiatów. Jednak w czasie, gdy toczy się nasza opowieść, choć ta górnicza okolica trzymana jest w żelaznym uścisku przemysłu, to przecież nie utraciła jeszcze niczego ze swej naturalnej dzikości.

Zamek karpacki pochodził z XII lub XIII wieku. W tym czasie, pod kierunkiem wodzów lub wojewodów, z taką samą pieczołowitością jak miasta czy wsie fortyfikowano również klasztory, kościoły, pałace i zamki. Tak szlachta, jak i prości włościanie musieli się chronić przed wszelkiego rodzaju najezdami. Ten stan rzeczy wyjaśnia dlaczego starożytna kurtyna zamku, jego bastiony i donżon nadają mu wygląd feudalnej budowli gotowej do obrony. Jakiż architekt zbudował go na tym płaskowyżu położonym tak bardzo wysoko? Nie wiadomo, i ten odważny artysta pozostaje nieznany, chyba że był nim rumuński Manole¹, tak wspaniale opiewany w wołoskich legendach, ten sam, który zbudował słynny zamek Radu Negru² w Curtea de Argeș³.

¹ Meșterul *Manole* (Mistrz Manole) – budowniczy katedry (nie zamku) w Curtea de Argeș; według legendy nie mógł zbudować katedry, której mury stałe się waliły, we śnie dowiedział się, że konieczne jest złożenie ofiary z kogoś kochanego przez budowniczych, nie znalazł żadnego ochotnika i złożył w ofierze swą brzemienną żonę Anę, zamurowując ją żywą w murach katedry; katedrę zamówił książę Radu Negru.

² *Radu Negru* (Radu Czarny, 1265-?) – u J. Verne’a: Rodolphe Czarny; także Radu Vodă (Radu Wojewoda) lub Negru Vodă (Czarny Wojewoda), legendarny wojewoda Wołoszczyzny, założyciel w 1290 roku tego państwa.

³ *Curtea de Argeș* – u J. Verne’a: Curté d’Argis, miejscowość zamieszkiwana przez Daków, na szlaku handlowym pomiędzy Bizancjum a Siedmiogrodem; od XVI wieku biskupstwo łacińskie, obecnie rumuńskie Kurtja de Ardșesz.

Ale o ile istnieją wątpliwości co do architekta naszej budowli, to nie ma żadnych co do rodziny, do której należał zamek. Od niepamiętnych czasów panami tej krainy byli baronowie Gortz. Brali udział we wszystkich wojnach wykrwawiających siedmiogrodzkie prowincje. Walczyli z Węgry, Sasami, Szeklerami; ich nazwisko pojawia się w kantyczkach i doinach¹, gdzie przetrwała pamięć o tych nieszczęsnych okresach; ich mottem było słynne wołoskie przysłowie: *Da pe maorte*, co oznacza „Oddawać się aż po śmierć!”, co czynili, przelewając krew za niepodległość – krew, którą otrzymali od swoich rumuńskich przodków.

Wiemy jednak, że te wielkie wysiłki i poświęcenie na nic się zdały, bo sprowadziły potomków tej dzielnej rasy do życia w najbardziej niegodnym ucisku. Rumunia przestała politycznie istnieć. Zmiażdżyły ją trzy obcasy. Lecz przecież Wołosi z Transylwanii nie porzucili nadziei, że kiedyś zrzucą jarzmo. Przyszłość należy do nich, więc z niezachwianą pewnością powtarzają sobie słowa, w których streszczają się ich niepodległościowe ambicje: *Rôman on péré!* Co znaczy: „Rumun nie może zginąć!”.

Około połowy XIX wieku ostatnim przedstawicielem rodu Gortzów był baron Rodolphe. Urodzony w zamku w Karpatach, od wczesnej młodości widział, jak wymiera jego rodzina. W wieku dwudziestu dwóch lat znalazł się sam na świecie. Wszyscy jego bliscy z roku na rok odpadali od rodzinnego pnia, zupełnie jak te suche gałęzie wielowiekowego buka, z którym ludowe przesady wiązały istnienie zamku. Bez rodziców, a szczerze mówiąc, nawet bez jakichkolwiek przyjaciół... Cóż więc robił baron Rodolphe, by wypełnić sobie czas monotonnej samotności, którą uczyniła wokół niego śmierć krewnych? Jakże miał

¹ *Kantyczka* – popularna pieśń religijna; *doina* – rumuńska liryczna pieśń ludowa, pokrewna ukraińskiej dumce.

gusta, skłonności, predyspozycje? W zasadzie niczym specjalnym się nie wyróżniał, z wyjątkiem nieodpartej pasji do muzyki, zwłaszcza zaś do sztuki śpiewu wielkich artystów swojej epoki. I tak pewnego dnia pozostawił mocno już podniszczony zamek pod opieką kilkorga starych sług, a sam zniknął. Potem dowiedziano się, że całą swoją fortunę, która była wówczas jeszcze całkiem spora, przeznaczył na odwiedzanie głównych ośrodków sztuki operowej w Europie, teatrów w Niemczech, Francji, Włoszech, gdzie mógł zaspokajać swoje nienasycone melomańskie fantazje. Czy był ekscentrykiem, żeby nie powiedzieć maniakiem? Dziwaczne życie, jakie prowadził, dawało powody, by go tak nazwać.

Jednak pamięć o rodzinnym kraju pozostała głęboko wyryta w sercu młodego barona de Gortz. Podczas swoich dalekich peregrynacji bynajmniej nie zapomniał o transylwańskiej ojczyźnie. Powrócił nawet, by wziąć udział w jednym z krwawych buntów rumuńskich chłopów przeciwko węgierskiemu uciskowi. Niestety, potomkowie starożytnych Daków zostali pokonani, a ich terytorium podzielono pomiędzy zwycięzców.

W wyniku tej porażki baron Rodolphe definitywnie pożegnał się z zamczyskiem w Karpatach, którego pewne fragmenty popadły w ruinę. Wkrótce też zmarli sędziwi wierni słudzy i budowla pozostała na pastwę losu. Co do barona de Gortz, krążyły pogłoski, że z pobudek patriotycznych przyłączył się do bandy osławionego Roszy Sandora, byłego rozbójnika z gościńców, którego wojna o niepodległość uczyniła bohaterem dramatu. Na szczęście dla Rodolphe'a, po zakończeniu walk odszedł on z bandy, kończąc z kompromitującą karierą *betyára*¹, co okazało się bardzo mądrym posunięciem, gdyż były rozbójnik ponownie stał się przywódcą złodziei, a wkrótce potem wpadł

¹ *Betyár* (węg.) – rozbójnik, awanturnik.

w ręce policji i skończył zamknięty w więzieniu w Szamosújvár¹.

Tymczasem ludność komitatu bezkrytycznie przyjęła inną wersję losów swojego pana, a mianowicie taką, że baron Rodolphe zginął na granicy podczas którejś z potyczek Roszy Sandora z celnikami. Nie było na to żadnego potwierdzenia, choć od tamtego czasu nikt nie widział barona de Gortz na zamku, tak więc jego śmierć została uznana za pewnik. Jednak dużo rozsądniej byłoby nie brać na poważnie wszystkich pogłosek, które krążyły pośród tutejszego łatwowiernego ludu.

Opuszczony zamek, nawiedzony zamek, wyimaginowany zamek... Żywa i żarliwa wyobraźnia tubylców wkrótce zapełniła go widmami, duchami i zjawami pojawiającymi się nocy. Tak się rzeczy mają w niektórych przesądnych częściach Europy, a Transylwania może sobie rościć prawo, by stać pomiędzy nimi w pierwszym szeregu.

Poza tym, jakże taka wioska jak Werst mogłaby zerwać z wierzeniami w zjawiska nadprzyrodzone? Tutejszy pop i bakałarz, jeden odpowiedzialny za wychowanie dzieci, a drugi krzewiący wśród wiernych religię, powtarzali te wszystkie bajki tym szczerzej, że naprawdę sami w nie wierzyli. Twierdzili, że „mają niezbite dowody” na uganianie się po okolicy wilkołaków, że wampiry, zwane strzygami, wypijają ludzką krew, wydając przenikliwe krzyki, że po ruinach zamku błakają się zmory, które stają się złośliwe, jeśli zapomni się im przynieść każdego wieczora napitek i strawę. Istnieją także *babes*, czarownice, których należało unikać szczególnie we wtorki i piątki, dwa najgorsze dni tygodnia. Jak można się było zapuszczać w przepastne zaczarowane lasy komitatu, skoro kryły się w nich balaury² – olbrzy-

¹ *Szamosújvár* – u J. Verne’a: Szamosz-Uyvar, węgierska nazwa miasta Gherla w Rumunii, w okręgu Kluż, w Siedmiogrodzie.

² *Balaur* – w rumuńskim folklorze rodzaj wielogłowego smoka lub potworu węży, czasami skrzydlatego; liczba głów wynosi zwykle około trzech, ale według niektórych legend może ich być siedem lub nawet dwanaście.

mie smoki, których otwarte paszcze sięgały chmur. Były tam też *zmeje* o ogromnych skrzydłach, które z lubością porywały dziewicę królewskiej krwi, a nawet plebejuszki, byle tylko były wystarczająco ładne! Oto rozległy panteon potworów zaludniający ludową wyobraźnię, ale czy znajdzie się pośród nich jakiś przyjazny człowiekowi duszek? Ależ tak – *serpi de casa*¹, czyli wąż strzegący domowego ogniska, który ma swoje stałe miejsce w chacie przy kominie, a każdy wieśniak zapewnia sobie jego przychylność, karmiąc go najlepszym mlekiem.

Jeśli kiedykolwiek zbudowano zamek, który miałby być schronieniem dla gospodarzy rumuńskiej mitologii, to czy nie był to właśnie ten zamek w Karpatach? Położony na odosobnionym płaskowyżu, prawie niedostępnym, jak tylko przez wąski przesmyk po lewej stronie przełęczy Vulkan... Nie ulegało wątpliwości, że muszą go zamieszkiwać smoki, czarownice, strzygi, a może i duchy z rodu Gortzów. Stąd brała się tak zła jego reputacja, jak mówiono „bardzo usprawiedliwiona”. Co do wizyt na zamku – to nikt o tym nie myślał. Zameczysko roztaczało wokół poczucie grozy, niczym niezdrowe bagnisko zaraźliwe miazmaty². Zbliżenie się do tej budowli na mniej niż ćwierć mili oznaczało ryzykowanie życiem na tym świecie i zbawieniem na drugim. Dokładnie tego nauczał w swojej szkole nauczyciel Hermod.

Ten stan rzeczy miał trwać tak długo, aż po starożytnej fortecy baronów de Gortz nie pozostanie ani jeden kamień. I tego właśnie dotyczyła wspomniana legenda.

Według najbardziej szacownych notabli wioski Werst istnienie zamku wiązało się ściśle ze starym bukiem, którego konary wykrzywiały się nad narożnym bastionem, na prawo od kurtyny.

¹ *Serpi de casa* (rum.) – zaskroniec zwyczajny.

² *Miazmaty* – dawne określenie trujących wyziewów z rozkładających się ciał, zarazków chorobotwórczych, niezdrowego powietrza.



Dokładnie tego nauczał w swojej szkole nauczyciel Hermod.

Od czasu wyjazdu Rodolphe'a de Gortz mieszkańcy wioski, a zwłaszcza pasterz Frik, obserwowali drzewo, które co roku traciło jeden ze swych konarów. Kiedy po raz ostatni widziano barona Rodolphe'a na tarasie donżonu, z pnia drzewa sterczało osiemnaście okazałych gałęzi, a obecnie drzewo liczyło ich tylko trzy... Każda upadła gałąź skracała o rok istnienie zamczyska. Upadek ostatniej miał być sygnałem jego ostatecznej zagłady. Potem na płaskowyżu Orgall na próżno będzie się szukać pozostałości karpackiego zamku.

W rzeczywistości była to tylko jedna z tych przepowiedni, które tak chętnie rodzą się w wyobraźni rumuńskiego gminu. Przede wszystkim: czy rzeczywiście stary buk co roku tracił jedną ze swoich gałęzi? Nie było na to żadnych dowodów, choć Frik nie ustawał w zapewnieniach, bo to on nie spuszczał oka z drzewa, podczas gdy jego stado pasło się nad brzegiem Silu. A chociaż Frik tak dla najuboższego wieśniaka, jak i dla głównego sędziego we wsi Werst uchodził za podejrzaną osobę, to i tak wiadomo było, że skoro na „opiekuńczym buku” zostały tylko trzy gałęzie, to przed zamkiem były tylko trzy lata istnienia.

Pasterz spieszył więc drogą do wioski z tą ważną nowiną, gdy zdarzył się incydent z lunetą.

Co za nowina! Naprawdę wielka nowina! Ze szczytu baszty unosił się dym... To, czego Frik nie zdołał dostrzec własnymi oczami, stało się doskonale widoczne dzięki przyrządowi handlarza... Nie były to żadne opary... tylko dym mieszający się z chmurami. A przecież zamek stał opuszczony... Od dawna nikt nie przekroczył jego furty, z całą pewnością dobrze zamkniętej, ani zwodzonego mostu, z całą pewnością podniesionego w górę. Jeśli ktoś zamieszkiwał zamek, to na pewno były to istoty nie z tego świata... Tylko dlaczego te duchy miałyby rozpa-

łać ogień w jednym z pomieszczeń donżonu? Czy był to kominiek w sypialni, czy kuchenny piec...? Otóż to było do-
prawdy niepojęte.

Frik popędzał zwierzęta do obory. Na jego głos psy nękały stado na ścieżce wznoszącej się mocno pod górę, a opadający na ziemię kurz mieszał się z wieczorną rosą.

Kilku chłopów, zwlekających jeszcze w pracach polowych, pozdrowiało przechodzącego pasterza, on jednak ledwo reagował na te grzeczności. Bardzo to zmartwiło wieśniaków, bo aby uniknąć uroków, nie wystarczy samemu witać się z pasterzem, musi on odpowiedzieć tym samym. Jednak nie wydawało się, by Frik to zamierzał. Jego oczy były półprzysłone, zachowanie dziwne, ruchy chaotyczne. Nie przejawiałyby takiego wzburzenia, nawet gdyby wilki i niedźwiedzie pożarły połowę jego stada! Jakiejż to złej wieści był posłańcem?

Pierwszym człowiekiem, którego napotkał, był sędzia Koltz. Frik, dostrzegłszy go już z daleka, począł wołać:

- Panie! W zamku jest ogień!
- Cóż ty mówisz, Frik?
- Mówię, jak jest.
- Zwariowałaś?

Istotnie, jak pożar mógłby zaatakować ten stary stos kamieni? Równie dobrze można by przyjąć, że płomienie pochłonęły Negoui, najwyższy szczyt Karpat¹. Nie było nic bardziej absur-
dalnego.

– Powiadasz, powiadasz więc, Friku, że zamek się pali? –
powtarzał sędzia Koltz.

- Jeśli sam się nie pali, to się z niego dymi...

¹ Najwyższym szczytem Karpat jest położony w Słowacji Gerlach (2655 m n.p.m.); w rumuńskich Karpatach najwyższy szczyt to Moldoveanu (2544 m n.p.m.); Negoui (u J. Verne'a: Negoï) jest drugi (2535 m n.p.m.).



Tam Frik wręczył lunetę sędziemu Koltzowi.

– Pewnie jakieś opary...

– Nie, to na pewno dym... Zobaczcie sami...

Obaj poszli na środek głównej ulicy wiodącej przez wioskę, z której pobocza z widokiem na wąwozy przełęczy widać było również zamek.

Tam Frik wręczył lunetę sędziemu Koltzowi.

Oczywiście ten niewiele więcej znał się na tym instrumencie niż jego pastuch.

– Cóż to takiego? – zapytał.

– Aparat, który zakupiłem dla ciebie, panie, za dwa floreny, ale z pewnością wart jest cztery!

– Od kogo?

– Od wędrownego handlarza.

– A po cóż to?

– Przyłóżcie sobie to, panie, do oka i wycelujcie w stronę zamku, a sami zobaczycie...

Sędzia skierował lunetę w stronę zamku i długo się przypatrywał.

Tak! Z jednego z kominów donżonu wydobywał się dym. Dokładnie w chwili, gdy spoglądał, podmuch wiatru poniósł go ku górskiemu zboczcu.

– Dym! – powtarzał ze zdumieniem sędzia.

Tymczasem do Frika i sędziego dołączyła Miriota z leśniczym Nicem Deckiem, powracającym właśnie do domu.

– Do czego to służy? – zapytał młodzieniec, wskazując na lunetę.

– Do patrzenia na odległość – odparł pasterz.

– Żarty sobie stroisz, Friku?

– Zupełnie nie żartuję, panie leśniczy, a ledwie godzinę temu widziałem was, gdy schodziliście drogą do Werstu razem z...

Nie dokończył zdania, gdyż Miriota stanęła w pasach i opuściła swe piękne oczy. W końcu, czy porządna dziewczyna nie może wyjść naprzeciw swojemu narzeczonemu?



Tymczasem nadeszło jeszcze z pół tuzina innych wieśniaków,
i wszyscy po kolei korzystali z przyrządu.

Ona i on, jedno po drugim, też mieli okazję popatrzeć przez lunetę na zamek.

Tymczasem nadeszło jeszcze z pół tuzina innych wieśniaków, i wszyscy po kolei korzystali z przyrzędu.

– Dym! Dym na zamku! – zawołał jeden z wieśniaków.

– Może to piorun uderzył w donżon...? – zauważył ktoś.

– Czy grzmiało? – zapytał sędzieja Koltz, zwracając się do Frika.

– Żadnego grzmotu od tygodnia – odparł pasterz.

Ci dobrzy ludzie nie byłiby bardziej zdumieni, gdyby powiedziano im, że na szczycie Retezatu właśnie otworzył się krater, z którego wydobywają się podziemne opary.



Rozdział III

Wieś Werst jest tak mało ważna, że nie ma jej na większości map. Jeśli chodzi o hierarchię administracyjną, to znajduje się nawet poniżej swojego najbliższego sąsiada, wioski Vulkan, która przyjęła swe miano od części masywu Pleșa, na którego zboczach malowniczo usadowiły się obie miejscowości.

W czasach, o których opowiadamy, eksploatacja zagłębia górniczego przyczyniła się do wzmocnienia gospodarki w pobliskich miastach, jak Petroszany, Livadzel i inne. Lecz ani wiosce Vulkan, ani wiosce Werst bliskość wielkiego ośrodka przemysłowego nie przysporzyła najmniejszych korzyści. Obie te osady przedstawiały się dokładnie tak samo jak przed pięćdziesięciu laty, a i za pół wieku będą zapewne takie same jak teraz. Zdaniem Élisée Reclusa dobrą połowę populacji Vulkan stanowią „urzędnicy nadzorujący granicę, celnicy, żandarmi, urzędnicy podatkowi i pielęgniarze z kwarantanny”. Czytelniku, usuń żandarmów i urzędników skarbowych, dodaj nieco wyższy odsetek rolników, a będziesz miał ludność Werstu, czyli od czterech do pięciu setek stałych mieszkańców.

Cała wioska to nic innego jak jedna szeroka ulica, której duże nachylenie sprawia, że pokonywanie jej czy to górę, czy to dół jest dość uciążliwe. Służy jako naturalny trakt pomiędzy granicą wołoską a transylwańską. Przemierzają ją najczęściej stada wołów, owiec i świń, kupcy świeżego mięsa, owoców i zbóż, a także rzadcy podróżnicy, którzy podążają przez przełęcz, zamiast po prostu pojechać koleją żelazną z Kolozsvaru czy z doliny Maruszy.

Z całą pewnością natura hojnie wyposażyła nieckę rozciągającą się między górami Bihar, Retezat i Pârang. Bogata w żyzną

glebę, posiada także wielkie bogactwa kryjące się pod powierzchnią ziemi: kopalnie soli kamiennej w Thorda o rocznej produkcji ponad dwudziestu tysięcy ton; złoża pod Górą Parajd, mierzącą siedem kilometrów w obwodzie przy swej kopule, praktycznie w całości uformowanej z chlorku sodu¹, czy kopalnie Torockó², dostarczające ołów, galenę³, rtęć, a zwłaszcza żelazo, których złoża eksploatowano od X wieku; kopalnie Vayda Hunyad i ich rudy, przekształcane następnie w najwyższej jakości stal; kopalnie węgla kamiennego, łatwe w eksploatacji, bo położone w górnych warstwach usianych jeziorami dolin w powiecie Hátság⁴, Livadzel, Petroszany, o szacowanej objętości dwustu pięćdziesięciu milionów ton; wreszcie kopalnie złota w okolicach Offenbánya⁵ i Topánfalva⁶, regionie kopalni złota, gdzie niezliczone młyny o bardzo prostej konstrukcji przerabiają piaski Verès Patak⁷, „transylwańskiego Paktolu⁸”, i każdego roku eksportują ten szlachetny metal za kwotę dwóch milionów franków.

¹ *Chlorek sodu* (NaCl) – związek chemiczny krystalizujący jako minerał halit, znany pod nazwą soli kamiennej.

² *Torockó* – u J. Verne’a: Torotzko; węgierska nazwa dużej osady Rimetea w środkowej Rumunii, w Siedmiogrodzie, w okręgu Alba; w jej okolicy już w XIII wieku odkryto złoża różnych kruszców.

³ *Galena* (galenit, dawniej błyszcz ołowiu) – minerał, siarczek ołowiu PbS; zwykle zawiera domieszki srebra; ołowianoszary, często z odcieniem srebrzystym, o silnym metalicznym połysku; najważniejsza ruda ołowiu, także surowiec do otrzymywania złota.

⁴ *Hászeg* – węgierska nazwa miasta Hațeg w Rumunii, w okręgu Hunedoara, w Siedmiogrodzie.

⁵ *Offenbánya* – węgierska nazwa miasta Baia de Arieș w Rumunii, w okręgu Alba.

⁶ *Topánfalva* – węgierska nazwa miasta Câmpeni w zachodniej Rumunii, w okręgu Alba.

⁷ *Véres Patak* (węg.) – Bijący Potok.

⁸ *Paktol* (Paktolos) – niewielka rzeka w Turcji (dawniej Lidia); przepływała przez starożytne Sardes, uchodząc do rzeki Gediz; w VI-V wieku p.n.e. wydobywano z jej piasków elektron (stop złota i srebra z domieszką miedzi i żelaza), służący do bicia monet; związana z legendą o królu Midasie.

Wydawałoby się, że jest to okolica w naturalny sposób bardzo uprzywilejowana, a jednak całe to bogactwo prawie nie przekłada się na dobrobyt tamtejszych mieszkańców. W każdym razie, jeśli nawet ważniejsze ośrodki przemysłowe, Torockó, Petroszany, Lonyai, posiadają jakieś urządzenia związane z wygodami nowoczesnego przemysłu, jeśli te miejsciny mają regularną zabudowę podporządkowaną węgielnicy¹ i mierniczemu sznurowi, magazyny, sklepy, prawdziwe miasta robotnicze, jeśli mają pewną liczbę domów z balkonami i werandami, to tego właśnie nie należy szukać ani we wsi Vulkan, ani we wsi Werst.

Dobrze licząc, około sześćdziesięciu domów, nieregularnie przycupniętych wzdłuż tej jedynej ulicy, każdy zwieńczony fantazyjnym dachem z kalenicą² wychodzącą poza mury lepianki, fasada od strony ogrodu, strych ze świetlikiem, zrujnowana stodoła jako przybudówka, pokraczna obora kryta słomą, tu i ówdzie studzienny żuraw ze zwieszającym się na drągu wiadrem oraz dwie lub trzy glinianki, które przelewają się podczas ulewnych deszczów, dając początek strumykom, których kręte koleiny wiją się przez wieś. Ot i cała wioska Werst, zbudowana po obu stronach ulicy, wcisnięta pomiędzy strome zbocza przełęczy. Jednak wszystko to razem jest nadzwyczaj świeże i pełne powabu. Kwitnące kwiaty przy drzwiach i oknach, ściany przysłonięte zasłonami z zieleni, kępy ziół mieszające się z głębokim złotem strzech i w końcu topole, wiązy, buki, jodły, klony, wznoszące się ponad domami „tak wysoko, jak mogą się wspiąć”. Ponad nimi górskie łańcuchy, w ich zaś tle jeszcze wyższe szczyty, które z oddali zdają się prawie niebieskie, aż całkiem zlewają się z lazurem nieba.

¹ *Węgielnica* – przyrząd geodezyjny do wytyczania kątów prostych, pełnych i półpełnych; winkiel.

² *Kalenica* – styk dwóch połaci dachu, jego najwyższy punkt.

W Werście, jak też w całej tej części Transylwanii, nie mówi się ani po niemiecku, ani po węgiersku, lecz w języku rumuńskim – nawet wśród niektórych rodzin cygańskich, osiadłych raczej niż obozujących w różnych wioskach komitatu. Cudzoziemcy owi przyjęli język tego kraju, podobnie jak przyjęli jego religię, a ci, którzy trafili do Werstu, stworzyli rodzaj małego klanu pod zwierzchnictwem wojewody, ze swoimi chatami na wzór „baraków” o spiczastych dachach, chmarą dzieci i regularnym trybem życia oraz obyczajami mocno różniącymi się od życia i zwyczajów ich ziomków nadal wędrujących po Europie. Na wzór swoich sąsiadów wyznają chrześcijaństwo w obrządku greckim. Religijnym przywódcą Werstu jest pop zamieszkały w Vulkan i służący obu wioskom, oddalonym od siebie zaledwie o pół mili.

Cywilizacja jest jak powietrze lub woda. Wszędzie tam, gdzie znajdzie ujście – nawet najmniejszą szczelinę – przenika i zmienia lokalne warunki. Musimy jednak przyznać, że w tej południowej części Karpat nie doszło jeszcze do takiego pęknięcia. Dlatego Élisée Reclus mógł śmiało powiedzieć o Vulkan, że „jest ostatnim bastionem cywilizacji w dolinie wołoskiego Silu”, nie jest więc zaskakujące, że wioska Werst była jedną z najbardziej zacofanych wiosek w komitacie Kolozsvar. Jak mogłoby być inaczej w okolicy, gdzie mieszkańcy rodzą się, dorastają i umierają, nigdy jej nie opuszczając!

I tu musimy zapytać, czy w Werście był nauczyciel i sędzia? Ależ tak. Wprawdzie nauczyciel Hermod był w stanie przekazać uczniom tylko to, co sam wiedział, a więc trochę czytać, trochę pisać, trochę liczyć. Jego własne wykształcenie nie wykraczało dużo dalej. Z historii, geografii, literatury znał tylko popularne pieśni i okoliczne legendy i w tym względzie pamięć służyła mu świetnie. W snuciu fantastycznych opowieści nie miał sobie równych, tak więc niektórzy jego wioskowi uczniowie z lekcji z nim czerpali wielkie korzyści.

Co do sędziego, zatrzymajmy się starannie nad funkcją sprawowaną przez tego najważniejszego w Werście urzędnika.

Bíró, pan Koltz, był z pochodzenia Rumunem, niskim mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu lat, o krótkich siwiejących włosach i wciąż czarnych wąsach, z oczami bardziej o miękkim niż żywym spojrzeniu. Solidnie zbudowany, jak każdy góral, głowę osłaniał szerokim filcowym kapeluszem, brzuch zaś opasany miał szerokim pasem zdobionym tradycyjną klamrą, tułów okrywał kamizelką, a spodnie nosił wpuszczone w wysokie skórzane buty. Był raczej wójtem niż sędzią, chociaż do jego obowiązków należało interweniowanie w wielu trudnych sprawach pomiędzy sąsiadami. Zajmował się przede wszystkim dość autorytatywnym zarządzaniem wioską, i nie bez zysku dla swojej sakiewki. Istotnie, wszelkie transakcje, czy to zakupu, czy sprzedaży, były tu opodatkowane na jego rzecz – nie wspominając o podatku drogowym, który bez zwłoki musieli mu wpłacać pojawiający się w okolicy obcy – turyści lub handlarze.

Ta lukratywna pozycja przyniosła sędziemu Koltzowi względny dostatek. Podczas gdy większość chłopów w komitacie nękana była lichwą, która szybko czyniła ich żydowskich wierzycieli faktycznymi właścicielami ziemi, sędzia zdołał umknąć chciwości tych ludzi. Posiadał majątek wolny od hipotek i „zapisów”, jak mówią w tym regionie, nikomu też niczego nie zawdzięczał. Jeśli już, to raczej sam pożyczalby innym, niż zaciągał długi, a na pewno robiłby to bez łupienia biedaków. Miał kilka pastwisk z dobrą trawą dla swoich stad, dość dobrze utrzymane pola, choć nie był zwolennikiem nowoczesnych metod uprawy, a zwłaszcza dumny był ze swoich winnic, gdy z namaszczeniem przechadzał się wzdłuż rzędów winorośli uginających się pod ciężarem winnych gron, którymi handlował z zyskiem – z wyjątkiem znaczącej ilości pozostawianej na własne spożycie.

Nie trzeba dodawać, że dom sędziego Koltza był najpiękniejszym domem we wsi, położonym na rogu terasy¹ przecinającej długą, biegnącą ostro do góry ulicę. Bardzo proszę, oto on: kamienny dom z fasadą zwróconą w stronę ogrodu, z drzwiami usytuowanymi pomiędzy trzecim a czwartym oknem, z zielonymi pnączami zwieszającymi się wzdłuż rynien i dwoma dużymi bukami, których rozwidlenia kołysały się ponad ukwieconą strzechą. Za nim piękny sad, szachownica warzywnika i równe rzędy drzew owocowych wspinających się po zboczu przełęczy. W samym domu były piękne, czyste pokoje, osobna izba do jedzenia, osobne do spania, z malowanymi meblami, stołami, łózkami, ławami i taboretami, kredensami, na których błyszcząły garnki i talerze. Z belek stropowych zwieszały się zdobione dzbany i wesołe kolorowe tkaniny, a ciężkie skrzynie, służące za kufry i szafy, przykryte były narzutami i pikowanymi kołdrami. Białe ściany zaś rozświetlały portrety rumuńskich patriotów, między innymi popularnego bohatera z XV wieku, wojewody Vaydy Hunyada².

Proszę, jaki uroczy dom, o wiele za duży dla samotnego mężczyzny. Ale sędzia Koltz nie był sam. Owdowiały już od jakichś dziesięciu lat, miał córkę, piękną Miriotę, którą zachwycano się od Werstu po Vulkan, a nawet i dużo dalej. Śmiało mogłaby nosić jedno z tych dziwacznych pogańskich imion: Florica, Daina, Dauritia, wysoko cenionych w rodzinach wołoskich. Lecz nie! Była po prostu Miriotą, co oznacza „małą owieczkę”. Tymczasem mała owieczka dorosła i stała się uroczą dwudziestoletnią dziewczyną, blondynką o brązowych oczach i łagodnym spojrzeniu, czarujących rysach i przyjemnej sylwetce. Prawdę mówiąc,

¹ *Terasa* (taras) – płaski stopień w dolinie rzecznej lub na brzegu morza albo jeziora.

² J. Verne'owi chodziło zapewne o Voyka Hunyadię (?-1419), założyciela rodu Hunyadi, z którego pochodził późniejszy król Węgier Mathias Korwin.



Tak! Piękna dziewczyna była z tej Mirioty, i – co w niczym nie przeszkadza – całkiem bogata, jak na tę zagubioną w Karpatach wioskę.

trudno byłoby o bardziej pociągającą istotę niż ta w bluzeczce haftowanej czerwoną nicią przy kołnierzu, nadgarstkach i na ramionach, w spódnicy ściśniętej paskiem ze srebrną klamrą, w *catrinzie*, czyli podwójnym fartuchu w niebiesko-czerwone paski, przepasanym w talii i stopach obutych w buciki z żółtej skóry. Stroju dopełniała lekka chusteczka zarzucona na głowę, spod której falowały długie włosy splecione w warkocz, zdobiony wstążką lub metalową zapinką.

Tak! Piękna dziewczyna była z tej Mirioty, i – co w niczym nie przeszkadza – całkiem bogata, jak na tę zagubioną w Karpatach wioskę. Czy była również dobrą gospodynią? Zapewne tak, skoro mądrze radziła sobie z prowadzeniem domu swojego ojca. Czy była wykształcona...? Jakże by nie! W szkole Hermoda nauczyła się czytać, pisać, liczyć i poprawnie liczyła, pisała i czytała, lecz nie pchano jej dalej, i to było dobre. Za to nie szczędzono jej wszystkiego, co tyczyło się transylwańskich baśni i sag. Znała je równie dobrze jak jej nauczyciel. Poznała legendę o Leany-Kö, Skałce Dziewicy, gdzie młoda księżniczka w cudowny sposób uciekła przed Tatarami¹; znała legendę o Grocie Smoka w dolinie „Królewskiej Góry”; legendę o twierdzy Deva, wybudowanej jeszcze „w czasach wrózek”; legendę o Detunacie „porażonej piorunem”, słynnej bazaltowej górze przypominającej gigantyczne kamienne skrzypce, na których to wygrywa diabeł podczas szczególnie burzliwych nocy; legendę o Retezacie ze szczytem wygolonym przez wiedźmę i legendę o wąwozie Thorda, który powstał za sprawą uderzenia miecza świętego Władysława. Przyznajemy, że Miriota szczerze wierzyła we wszyst-

¹ Na zachód od miejscowości Magyaregregy znajduje się dolina Vágyom, którą w miejscu zwanym „Skała Dziewczyny” przecinają piękne formacje skalne; według dodanej legendy dziewczyna i chłopiec stali się tutaj kamieniem, ponieważ kochali się wbrew zakazowi rodziców; wraz z nimi zamarzyło bydło pasące się w romantycznej dolinie (wzdłuż potoku).

kie te zmyślone historie, co jednak w niczym nie ujmowało jej wdzięku.

Wielu chłopców z okolicy smaliło do niej cholewki, nie zaprzątając sobie specjalnie głowy, że była jedyną dziedziczką bירו, pana Koltza, najważniejszego urzędnika w Werście. Zresztą próżne to były zalecanki, bo czyż nie była narzeczoną Nicolasa Decka?

Piękny był Rumun z tego Nicolasa, a raczej z tego Nica Decka. Dwudziestopięcioletni, wysoki, o silnej budowie, z dumnie uniesioną głową porośniętą czarnymi włosami okrytymi białym kołpakiem. Miał szczere spojrzenie i swobodną postawę. Ubrany w haftowaną kurtkę z jagnięcej skóry, stał mocno na swych smukłych niczym u jelenia nogach, i zarówno w chodzie, jak i w gestach odznaczał się zdecydowaniem. Z zawodu był leśniczym, czyli w pewnym sensie trochę wojskowym, a trochę cywilem. Ponieważ posiadał w okolicach Werstu nieco ziemi, podobał się ojcu, a jako miły mężczyzna o dumnej postawie przypadł do gustu dziewczynie, co zresztą nikogo nie dziwiło i czego z pewnością nikt nie zamierzał podważyć.

Ślub Nica Decka i Mirioty Koltz miał się odbyć za dwa tygodnie, czyli w połowie następnego miesiąca. Z tej okazji wieś sposobila się do świętowania. Sędzia Koltz jak zwykle zadbał o wszystko. Nie był skąpy, a jeśli lubił zarabiać pieniądze, to bynajmniej nie odmawiał sobie od czasu do czasu ich wydawania. Po ślubie Nic Deck miał zamieszkać w rodzinnym domu żony, który przypadnie mu po śmierci teścia, a gdy Miriota będzie go miała blisko siebie, przestanie się w końcu trwożyć podczas długich zimowych nocy, słysząc skrzypienie drzwi albo trzeszczenie mebli, że oto zaraz pojawi się jakiś duch z jej ulubionych baśni.

Aby zakończyć już listę notabli ze wsi Werst, należy wspomnieć o jeszcze dwóch, nie mniej ważnych, a mianowicie o nauczycielu i lekarzu.

Nauczyciel Hermod był tęgim mężczyzną w okularach, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat; spomiędzy zębów nieustannie sterczała mu porcelanowa fajka o zakrzywionym cybuchu. Jego spłaszczoną głowę porastały rzadkie, potargane włosy, a na gładko wygolonej twarzy drgał mu lewy policzek. Do swoich najważniejszych zadań zaliczał odpowiednie przycinanie piór swoich uczniów, którym z zasady zakazywał używania metalowych stalówek. Ach! Jakże on potrafił wspaniale zaostrzyć końcówkę pióra tylko za pomocą swego starego ostrego scyzoryka! Z jaką precyzją za jednym mrugnięciem oka zadawał ostateczny cios, odcinając czubek! Był bowiem nade wszystko zwolennikiem pięknego pisma i ku temu kierował wszystkie swe wysiłki, ku temu celowi powinien dążyć każdy nauczyciel traktujący poważnie swoją edukacyjną misję. Nauka zajmowała dopiero drugie miejsce – i wiemy już, czego to nauczał pan Hermod kolejne pokolenia chłopców i dziewcząt w ławkach swojej szkoły!

Teraz kolej na doktora Pataka.

Jak to w ogóle możliwe, że w Werście był lekarz, skoro cała wieś nadal wierzyła w nadprzyrodzone bajdy?

Tak, był, lecz by to pojąć, musimy wyjaśnić, w jaki sposób doktor Patak dochrapał się swego tytułu, podobnie jak wyjaśniliśmy, skąd się wziął sędzia Koltz.

Patak, mały mężczyzna z mocno wydatnym brzuchem, gruby i niski, w wieku czterdziestu pięciu lat, demonstracyjnie praktykował w Werście i okolicy medycynę. Swoją niewzruszoną pewnością siebie oraz ogłuszającą swadą, podobnie jak pasterz Frik – a to już nie byle co – wzbudzał zaufanie. Handlował poradami i lekarstwami, ale tak nieszkodliwymi, że nigdy nie pogarszały stanu skaleczeń czy stłuczeń jego pacjentów, którzy sami się w końcu uleczali.

Nawiasem mówiąc, mieszkańcy przełęczy Vulkan mieli się wybornie; tutejsze powietrze było wprost doskonałe, nie znano tu żadnych chorób zakaźnych, a jeśli ktoś w końcu umierał, to tylko dlatego, że i tak musiał umrzeć, nawet w tak uprzywilejowanym zakątku Transylwanii. Wracając zaś do doktora Pataka – tak, powiedzieliśmy: doktor! Bo za takiego uchodził, choć nie miał wykształcenia ani medycznego, ani farmaceutycznego, ani zresztą żadnego. Po prostu był kiedyś pielęgniarzem na granicznej kwarantannie, gdzie do jego obowiązków należało pilnowanie podróżnych oczekujących na zaświadczenie o stanie zdrowia. I tyle.

Jak widać, kwalifikacje te okazały się całkowicie wystarczające dla mało wymagającej populacji Werstu. Należy tu dodać – co chyba nie powinno dziwić – że doktor Patak miał bardzo silną osobowość, jak przystało na każdego, kto zajmuje się leczeniem bliźnich. Tak więc nie podzielał żadnego z karpackich przesądów, nawet tych odnoszących się do zamku. Śmiał się z nich i pozwalał sobie na żarty, a gdy mówiono przy nim, że od niepamiętnych czasów nikt nie odważył się zbliżyć do fortecy, ripostował:

– Nie prowokujcie mnie, żebym nie złożył wizyty w tej waszej starej ruderze!

Powtarzał to każdemu, kto tylko chciał go słuchać.

Ponieważ jednak nikt go nie sprowokował, a nawet przeciwnie, wszyscy pilnowali się, by tego nie uczynić, doktor Patak nigdy nie się wybrał, więc zamek w Karpatach ciągle stał, do brze chronione powszechnym zabobonem.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!